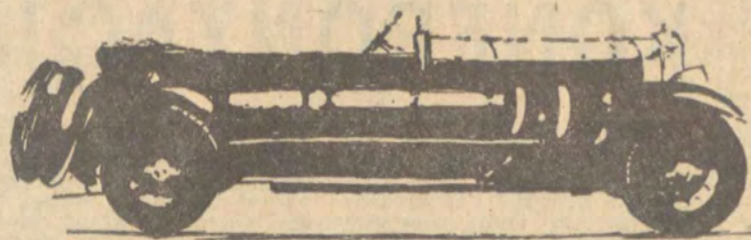


i ty możesz zostać wędkarzem

GNIAZDO PTAKA
NIE WYŻYWI



HORYZONTY
ŚWIADOMOŚCI



ODGŁOSY

ROK XIX NR 22 (964)

27 MAJA 1976 R.

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

OŚWIATA

Czekając na dziesięciolatkę...

Szkola polska przechodzi przeobrażenia, starając się nadać za dokonującymi się zmianami w życiu społecznym, gospodarczym, kulturalnym i coraz lepiej przygotowywać młodzież do dorosłego życia. Te zmiany, jakie zachodzą we współczesnej szkole nie zawsze docierają do społecznej świadomości. Nauczyciele, chcąc jak najlepiej spełnić swój obowiązek, borykają się z wieloma trudnościami i kłopotami, o których nie zawsze wiadomo poza szkołą. Nauczyciele oczekują pomocy i współpracy ze strony społeczeństwa w wychowywaniu młodzieży i często pomocy tej nie otrzymują.

Wiele jest spraw, którymi żyje współczesna szkoła, a które powinny być szerzej znane opinii publicznej. Zorganizowaliśmy w redakcji „Odgłosów” dyskusję, której celem była nie tylko wymiana poglądów na temat współczesnej szkoły, jej problemów i trudności, ale i chęć przedstawienia tych poglądów Czytelnikom. W naszej dyskusji udział wzięli:

- MARIA GRABSKA — nauczycielka,
 - RYSZARD MARCINKIEWICZ — dyrektor XXVIII Liceum Ogólnokształcącego,
 - EWA OSTROWSKA — pisarka, autorka cyklu artykułów na temat współczesnej szkoły, który publikowaliśmy niedawno na łamach „Odgłosów”.
 - JADWIGA SIKORA — nauczycielka,
 - GERARD TAROŃ — dyrektor Szkoły Podstawowej nr 98.
- Redakcję „Odgłosów” reprezentowali: BOGDA MADEJ i LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

NIE MOŻE BYĆ OBOJĘTNYCH

„ODGŁOSY”: — W ciągu ostatnich lat wiele zmieniło się w szkole. Dokonane zmiany przygotowały grunt pod dalsze. Już niedługo rozpocznie się wprowadzanie w życie szkoły dziesięcioletniej. Rozpoczęły się dyskusje nad programami tej szkoły. Jakie odbicie wśród nauczycielskiej społeczności znajdują te przygotowania?

R. MARCINKIEWICZ: — Wśród nauczycieli są zwolennicy takiej koncepcji, są wręcz entuzjaści, ale i są przeciwnicy. Ja na przykład jestem wielkim zwolennikiem liceum ogólnokształcącego i uważam, że przeniesienie ono z poprzednich lat wiele dobrych

tradycji polskiego szkolnictwa. Ale to na marginesie. Dla mnie o wiele bardziej istotnym od stosunku nauczycieli do dziesięciolatki, jest stosunek do tej idei całego społeczeństwa. Myślę jednak, że ten stosunek jest obojętny. A bierze się on z nieporozumienia. Gdyby powiedziano, że zostaje upowszechniona szkoła średnia w dziesięcioletniej formie, to niewątpliwie zaspokajałoby to snobistyczne tendencje społeczeństwa i wszyscy przyjęliby taką zmianę z radością i uznaniem. Skoro jednak dziesięciolatka ma być w zasadzie — tak się rozumuje — upowszechnieniem szkoły podstawowej, to nikogo to zbytnio nie obchodzi.

Dalszy ciąg na str. 3

POWSTAJE FILM

Stylowa sceneria krakowskiej kawiarni „Antycznej”: dyskretne oświetlenie wyluskuje z półmroku szczegóły secesyjnego wnętrza — misternie inkrustowane szafy, bogato zdobione stoliki i fotele, i gwarny, kolorowy tłumek krakowskiej bohemy AD 1897. Stylowe kostiumy dużej retro-urody, makijaż dam, znany nam z płócien Stanisława Wyspiańskiego, braci Gierymskich, Jacka Malczewskiego, Juliana Fałata — twarze ożywione gorączkową dyskusją i winem.

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA

DUSZEŃKA— NORWESKA MUZA KRAKOWSKIEJ MODERNY



Przy jednym ze stolików szczypliwy blondyn, głośno, afektownie, szeroko gestykulując, peroruje coś swemu towarzyszkowi, obok siedzi młoda kobieta o ciężkich powiekach i rudych, bujnych włosach. Zbliżenie ukazuje pełne niepewności, więcej, popłochu spojrzenie, jakim śledzi swego zajętego rozmową towarzysza. Pełnym gracji ruchem unosi kieliszek, pije. Pośpejne spojrzenie zawisa martwo w przestrzeni. KLAPS! — STOP! Jeszcze jeden dubel i Dagny — Lise Fieldstad i Stanisław Przybyszewski — Daniel Olbrychski przenoszą się w inny kąt ciasnej kawiarni, aby przygotować się do następnego ujęcia.

Dalszy ciąg na str. 5

REPORTAŻ

ANDRZEJ WOJCIECHOWSKI

GODZINA W KILO-GOLFIE

„Temperatura plus 18, widzialność 20 kilometrów, ciśnienie 749, wiatr 300 stopni o prędkości 2 m/sek, zachmurzenie 1/8 cumulus, podstawa chmur 1600 m”.

Takiego zapisu dokona w swoim lotniskowym dzienniku zawiadowca ruchu na Lublinku, 8 maja 1976 roku, pilot Stefan Berezka. Startujemy w Dziennikarskim Związku Lotniczym zorganizowanym przez władze polityczne dzielnicy Łódź-Górna, Aeroklub Łódzki i Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Organizatorzy Związku za główny cel stawiają sobie przypomnienie udziału polskich lotni-

ków w rozgromieniu faszyzmu. Nieprzypadkowo więc Związek rozpoczyna się uroczystym apelem przed pomnikiem lotników, członków Aeroklubu Łódzkiego, poległych w walce z faszyzmem.

Jedno nazwisko szeregu wyrytych na cokole pomnika jest mi znajome. PIOTR GLYDZIAK. Wiedziałem o nim, że był pilotem 4 Pułku w Toruniu. Wiele o nim słyszałem w domu, ale dopiero dziś dowiedziałem się, że zginął w czasie wojny jako pilot. Stefan Berezka, wspomniany wyżej zawiadowca ruchu, był towarzyszem broni Piotra Glydziaka, razem wysz-

kollił się w Łódzkim Aeroklubie, razem służyli w 4 Pułku. Latali w 1939 roku na słynnych „Karasiach”. Glydziak, jak wielu innych lotników, przedostał się do Anglii i walczył w polskim dywizjonie w RAF-ie zginął nad Niemcami w akcji bojowej. Tak więc zupełnie przypadkowo pan Berezka wyjaśnił mi historię życia pilota Glydziaka.

O nim, a także o Kazimierzu Barskim, Jerzym Blachowskim, Stanisławie Dubasie, Jerzym Różańskim i in-

Dalszy ciąg na str. 6

MIĘDZYNARODOWY
DZIEŃ DZIECKA

CZYTAJ NA STRONIE 12



JEDNO PYTANIE

W latach 1974-75 „Odgłosy” opublikowały cykl szkiców krytycznych poświęconych literaturze naszego miasta. Ta seria artykułów nosiła tytuł „Słownik pisarzy łódzkich”. Obecnie chcemy ten cykl kontynuować w lepszej formie. Zadając pisarzom jedno tylko pytanie, spodziewamy się, że wyniki naszej ankiety zaktualizują „Słownik” i ukażą łódzkie środowisko literackie z nowej strony. Dotychczas wypowiedzieli się: W. Orłowski, W. Rymkiewicz, M. M. Szargan, J. Wilmański, R. Binkowski, J. H. Wiśniewski i T. Giegier. Dziś wypowiedzi kolejne.

JAKI POWINIEN BYĆ DOBRY PRZEKŁAD?
Odpowiada: **TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI**

Przed wszystkim tłumacz musi pamiętać, że posiada inny warsztat niż autor, którego tłumaczy. Tak więc w przypadku tekstów klasycznych trzeba pamiętać, że środki poetyckie rozwinięły się od tamtej pory. Możliwa jest także inna droga, jej zwolennikiem jest E. Balcerzan, który postuluje adaptację wiersza z przeszłości do smaku współczesnego. Ale są tu ograniczenia, bo w każdej literaturze istnieje cezurą klasyki i współczesności. Możemy tłumaczyć Lomonosowa językiem Naruszewicza, natomiast przekład „Słowa o puku Igora” językiem „Kazań świętokrzyskich” wydaje się nonsensem. To nie przypadek, że najlepsze przekłady romantyków robili sami romantycy. Sprawa komplikuje się, jeśli kierunek literacki tłumaczonego autora nie ma odpowiedników w literaturze polskiej i na odwrót. Np. Rosjanie natrafiają na kłopoty przy tłumaczeniu Kochanowskiego, bo nie mieli Renesansu. Przekład „Pana Tadeusza” na niemiecki dokonany trzynastoletnim dzieckiem będzie się podobał Polakom znającym ten język. Niemcy będą mieli zastrzeżenia, bo w ich tradycji nie ma trzynastogłoskowca. Poezja ro-

syjska z ruchomym akcentem ma spadek daktyliczny, więc ja w przekładzie stosuję tutaj amfibię. Jestem też przeciwnikiem, podobnie jak Jastrun i Pollak, stosowania w przekładzie rymów męskich tam, gdzie oryginał przynosi rym żeński, bo w naszym języku ich ilość jest ograniczona.

Tłumacząc z rosyjskiego, białoruskiego, ukraińskiego, a także z litewskiego i ze słoweńskiego, chociaż że języki znam słabiej. Żałuję, że zbyt mało mam okazji do tłumaczenia z niemieckiego, bo jest to język, który znam od dzieciństwa, gdy rosyjskiego nauczyłem się na uniwersytecie. Niekiedy korzystam też z przekładów filologicznych, gdy chodzi o literatury odległe od nas kulturowo.

Przekład zresztą jest złem koniecznym wynikającym z tego, że nie sposób znać wszystkie języki. Dobrych tłumaczy jest sporo, kongenialnych bardzo mało. Ale na to nic nie poradzić.

CZY PISANIE DRAMATÓW JEST ZAJĘCIEM WDIĘCZNYM?
Odpowiada: **KAROL OBIDNIAK**

Jest to przede wszystkim zajęcie bardzo trudne. Ale jeśli ktoś lubi mocować się z przeciwnościami, to nie ma chyba zajęcia bardziej wdzięcznego.

W dramacie trudno jest uniknąć powtórzeń struktur psychologicznych postaci stworzonych przez autora, co wynika stąd, że sam pisarz ma przecież ograniczoną strukturę psychologiczną. Ale w dramacie, podobnie jak i w poezji lirycznej, rezygnując z opisowości, te powtórzenia są szczególnie widoczne.

Droga dramatu na scenę to niemal „droga krzyżowa”. Nie trudno o przykłady. Dwadzieścia lat temu napisałem „Gości „Hotelu du Parc””; premiera odbyła się dopiero przed kilkunastoma miesiącami w Nowej Hucie i była wydarzeniem. Każdemu autorowi musi chyba sprawiać radość i satysfakcję, że po tylu latach utwór okazał się żywy, że mimo upływu czasu potrafi bawić i wzruszać. Inne moje sztuki mają także dramatyczne koleje losu. Sztukę „Spisek” napisałem dwadzieścia pięć lat temu i jeszcze nie znalazłem wystawcy. „Tryptyk erotyczny” spoczywa w mojej tece autorskiej. Na realizację czeka też „Ostatni lot”, którym zainteresował się Marek Okopinski, nowy dyrektor teatru w Toruniu. Tylko „Pokój pełen dymu” niemal natychmiast trafił na scenę. Przeglądałem niedawno ten tekst i wydało mi się, że jest to sztuka do dziś aktualna. Może będzie miała wzniesienie. Takie niespodziewane sukcesy pozwalają wtedy zapomnieć o dziesiątkach upokorzonych. Ileż trzeba mieć wiary w siebie, aby nie zwątpić w to, co się robi. A dlaczego jest tak trudno? Realizator musi dostrzec szansę dla siebie, żeby sztuka trafiła na scenę i woli sięgnąć po teksty jeszcze nie całkiem gotowe, bo dzisiejsi reżyserzy mają ambicje współautorstwa. Wiele teraz nie wiem już czy pisanie dramatów jest zajęciem wdzięcznym (?), niewdzięcznym (?)

CZY ISTNIEJE LITERATURA KOBIECA?
Odpowiada: **EWA OSTROWSKA**

Rozumiem to pytanie jako

swoistą prowokację i odpowiadam: chyba nie! Być może istnieje literatura dla kobiet i przeważnie jest to literatura niedobra. Przeważnie zresztą są to książki pisane przez mężczyzn, choć oczywiście i kobiety usiłują pisać dla kobiet. Nominata sunt odiosa. Zastanawiam się, czy jest to w ogóle literatura.

Zwolennicy podziału na literaturę męską i kobiecą przywołują natychmiast przykład Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Jej twórczość to po prostu dobra poezja. Niektórzy jednak chcieliby widzieć pod pojęciem literatury kobiecej miękkość, delikatność i zdecydowanie brak precyzji. Wydaje mi się to widzeniem ogromnie uproszczonym.

Z drugiej przeciw strony zdają sobie sprawę, że istnieje coś, co można by określić jako klasyczny temat dla kobiet. To powieści o miłości, romans, bardzo trudny typ literatury, którą tylko najwięksi potrafili naprawdę udźwignąć.

A teraz coś o sobie: nie widzę siebie w żadnym z nurtów, ani w prozie „męskiej”, ani „kobiecej”. Uważam się za człowieka, który dopiero próbuje pisać. Sprawy świata kobiet są mi najbliżej znane i dlatego przenoszę je do swych książek. Następuje tu moment identyfikacji autora z bohaterami, ale nie poza tym. Poprawiam się: autorki z bohaterkami. Reszta jest sprawą krytyki, która ma cały szereg szufladek. Do której mnie włożą jest mi najzupełniej obojętne, bo nie uważam się za profesjonalistkę i jak to powiedziałam wcześniej wszystkie moje dotychczasowe książki są zaledwie próbą, nie zaś dokonaniem czy spełnieniem.

Na spotkaniach autorskich miałam nie raz okazję przekonać się, że czytają mnie zarówno mężczyźni i kobiety. To chyba dobrze.

KONFRONTACJE

W Muzeum Historii Włókiennictwa wystawiają swoje tkaniny Marii Maydanowicz. Wystawa nosi tytuł „Konfrontacje” i rzeczywiście jest, jak sądzę, udaną próbą ukazania dwóch przeciwstawnych temperamentów artystycznych.

Ogólna zaleta całej ekspozycji jest jej przejrzystość. Obie artystki wystawiły niewielką, lecz w pełni wystarczającą do scharakteryzowania własnej twórczości ilość prac, które powieszone w dużych od siebie odstępach nie przeszkadzają sobie nawzajem, nie ingerują jedna w drugą, a przeciwnie — pozwalają oglądać się osobno, a zatem lepiej i dokładniej.

Maria Maydanowicz wystawia prace z lat 1968-76. Tkaniny jej skomponowane w sposób zdecydowanie mimo niewielkich stosunkowo rozmiarów mają wyraźny monumentalny charakter. Wyczuwalne to jest zwłaszcza w tkaninach „tematycznych”, operujących konkretnym znakiem lub symbolem (np. w gobelinie „Polska walczy”, w którym artystka wykorzystowała znak walczącego podziemia — kotwicę, albo w innym pt. „Legenda”, gdzie z kolei zastosowała herb Warszawy — Syrena). Powagę tkanin Marii Maydanowicz podkreśla ponadto ich kolorystyka: zdecydowana, chociaż nie jaskrawa, wyraźna, lecz nie krzyżująca. Właśnie kompozycja i ko-

lor potęgają ładunek ekspresji i swoistą dramaturgię tkanin Marii Maydanowicz. A jeżeli mówimy o ekspresji i dramaturgii, nie można pominąć jeszcze jednego, bardzo istotnego elementu, którego artystka używa nader często i trafnie, a mianowicie faktury spłotwiny. Lamie ona płaszczyznę tkaniny, wzbogaca ją, ożywia, urozmaica grą światła.

Zupełnie inny charakter mają tkaniny Marii Bierzyńskiej-Rydzewskiej (z lat 1974-76). Poetyckie, liryczne wręcz, delikatne w kolorze zdają się być ulotne i bardzo takiego określenia. Artystka jest wyrafinowana, malarska w zestawach kolorystycznych. Kompozycja jej nie są tak precyzyjne jak ma to miejsce w tkaninie Marii Maydanowicz, a przeciwnie — rozchwiane, zatarłe, impresyjne. Stwarza to w połączeniu z wyśmakowanym kolorem i fakturą bardzo bogatą, niezwykle interesującą efekty plastyczne.

W sumie wystawa w Muzeum Historii Włókiennictwa jest ciekawym zestawieniem dwóch różnych indywidualności twórczych, dwóch postaw artystycznych działających w granicach tego samego rodzaju twórczości.

ANDRZEJ GRUN

SJESTA

Na płaszczyźnie wielokierunkowych dokonań tkaniny artystycznej gobelin jest już klasycznym kierunkiem tkackich interpretacji. Nie oznacza to bynajmniej pewnej zachowawczości, przeciwnie, wielu artystów udowodniło, że tradycyjny gobelin może być polem atrakcyjnych i ciekawych poszukiwań twórczych.

Po okresie niepohamowanej swobody plastycznej wyrażającej się pogonią za nowością formy i tworzyw w wielu odbiorców właśnie tradycyjny gobelin spełnia naturalne zapotrzebowanie doznań estetycznych. Pomysł swoje zastosowanie w różnym typie wnętrza, jest również poszukiwany, co nie pozostaje bez wpływu na jego rozwój.

Klasycznemu typowi gobelinu pozostał wierny Stanisław Kowalski, którego prace przedstawia Biuro Wystaw Artystycznych. Jest on członkiem działającej od 1967 r. w Łodzi grupy „ATE” (artyści — tkacze) — pierwszeństwa, jedynej, oficjalnie uznanej w kraju grupy twórców tkackich, której działalność twórcza, osiągnięcia, nowatorskie, eksperymentalne miały istotne znaczenie dla rozwoju i poziomu artystycznego oraz warsztatu technicznego sztuki tkackiej.

Oglądając prace Stanisława Kowalskiego trzeba mieć przede wszystkim na uwadze ogromny trud i wysiłek artysty włożony w proces tworzenia- tkanin. Z dużą precyzją i znanstwem wszystkich tajników sztuki tkackiej operuje tworzywem komponując tkanę malarsko. Różnobarwne mozaiki i smutki wątków w gobelinie „Goudel Leeuw” to jakby kolejne pociągnięcia pędzlem artysty budującego elementy swojego świata.

Wcześniej jego prace utrzymane są w gamie monochromatycznej, w późniejszych wydobywa z tworzywa bogatsze wartości kolorystyczne, co czyni prace w moim odczuciu ciekawszymi, weselszymi i żywsiymi.

Stanisław Kowalski jest twórcą gobelinów przedstawiających Poczta morza i wszechświata, przepłata się z dostojnością świata zwierzęcego.

Z prezentowanych prac wybrałam — myślę, że nie tylko ja — gobeliny o bardzo prostej fakturze — „Sjesta”. To najlepsze dzieło w twórczości artysty, może być uważany za pracę, która zasługuje na zapamiętanie. Jest ważny jako zwieńczenie jego drogi twórczej, tak przecież arbitralnie wyznaczanej w programie grupy „ATE”. Zawiera w sobie wszystkie elementy kreujące dzieło sztuki.

Trzeba stwierdzić również, że Kowalski ociera się o banal i kicz — takie odniosłam wrażenie — makatki z kotami itp., to do niedawna ulubiony element ozdobny mieszczańskich i wiejskich domów. Czy należało zatem na wystawie tej prezentować tak wątpliwą wartość artystycznej pracy, które przecież w sumie będa charakterystycznym dorobek twórcy.

Przywyczailliśmy się do ło-brze przygotowanych i zorganizowanych wystaw w galeriach Biura Wystaw Artystycznych. Ta wystawa do tych nie należy. Świadczymy o tym może niezbyt selektywny wybór prac, niestandardnie przygotowane i ekspozycyjne projekty (projekt z Kopernikiem), bardzo źle przygotowany katalog, bez słowa wstępu, pełniejszej reprodukcji prac. A szkoda.

KRYSTYNA POTOCKA-SUWALSKA

INFORMACJE

REZERWY SKUTECZNEGO DZIAŁANIA

Pod tym hasłem redakcja miesięcznika „Kultura i Życie” ogłosiła z okazji Przeglądu Aktywności Kulturalnej Ludzi Pracy konkurs wśród kierowników i pracowników placówek kulturalnych.

Tematem konkursu jest opis konkretnego programu działalności kulturalno-wychowawczej, a przede wszystkim nowych, oryginalnych form i metod pracy domu kultury, klubu czy świetlicy.

Termin nadsyłania prac konkursowych upływa 30 lipca. Fundatorami nagród są Wydział Oświaty, Kultury i Pracy CRZZ, Departament Domów Kultury, Bibliotek i Stowarzy-

zeń Kulturalnych MKIS oraz zarządy główne związków branżowych.

FESTIWAL GÓRALI

Trwają przygotowania do II Ogólnopolskiego Festiwalu Górali Polskich, który odbędzie się w pierwszych dniach czerwca w Żywcu i Usiołach. W imię przedsięwzięcia amatorskie zespoły regionalne amatori i tańca z różnych okolic górskich, a także góralskie kapela ludowe.

Festiwal ten jest najważniejszym akcentem bogatego programu imprez organizowanych przez Wojewódzką Radę Związków Zawodowych w Bielsku-Białej w związku z Przeglądem Aktywności Kulturalnej Ludzi Pracy.

SZTUKA I ŻYCIE

1.
Dwa tygodnie temu zachęcałem do uczestnictwa naszych Czytelników w VIII Łódzkiej Wiosnie Artystycznej. „Wiosna” w pełni i jak się orientuję, z tym uczestnictwem nie jest źle. Dziś kilka słów o imprezie, która stanowi autonomiczną część LWA, chociaż jest bardzo wieloletnia — o XI Ogólnopolskim Festiwalu Poezji.

Nie chcę ukrywać, że festiwalami byliśmy już trochę zmęczeni. Na przestrzeni lat ulegały one formalnej i treściowej erozji. Słyszano się głosy, nawet wśród ludzi pióra, że może na jubileuszowym, dziesiątym zakończyć te spotkania poetów i krytyków. Oczywiście, łatwo to zrobić, zlikwidować...

Tak się nie stało. Wnioski jednak zostały wyciągnięte z doświadczeń ostatnich kilku lat.

W następną dekadę wkracza Festiwal pod hasłem: „Romantyzm dzisiaj”. Podczas dwudniowych obrad (4 i 5 czerwca w Łodzi i Piotrkowie) uczestnicy wysłuchają trzech referatów: prof. dr Marii Janion „Romantyczne mity i legendy”, Bohdana Ostromeckiego: „Z romantyzmu czy z mgły romantyczności” oraz Wiesława Pawła Szymańskiego „Polski alfabet romantyczny”. Organizatorzy oczekują żywej i interesującej dyskusji, do której już „zapisało” się kilku młodych

naukowców z Uniwersytetu Łódzkiego. Wiceprezesa goście Festiwalu (a będzie to wyjątkowo liczna grupa, reprezentująca wszystkie środowiska poetyckie kraju) obejrzy w Teatrze Nowym „Pamiętnik intymny” Jana Lechonia, który dzięki uprzejmości dyrektora Kazimierza Dejzma zostanie z tej okazji wznowiony. Jeszcze niedługo w Klubie „Pod Siódmkami” najmłodszy poeta walczy będą o laury w Turnieju Jednego Wiersza.

Obecny festiwal jest geograficznie łódzko-piotrkowską imprezą. Piotrków w naturalny sposób odziedziczył „swoją” festiwalową po b. województwie łódzkim, do czego ma wszelkie warunki. Uczestnicy festiwalu zwiędzą budowę Zagłębia Bełchatowskiego, a po dalszych obradach w Bibliotece Wojewódzkiej, wezmą udział w Dniach Folkloru w Opatowie. Będzie to znamienne i chyba interesujące zestawienie.

Festiwal to okazja nie tylko do konfrontacji postaw, dyskusji, osobistych kontaktów, ale forum do wyrażenia opinii m. in. na temat poziomu życia literackiego, roli i funkcji poezji, kreowanie jeśli nie nowych zjawisk, to... nazwisk. Właśnie, z wprowadzonych innowacji należy podkreślić, że zrzęgowano z nagradzania opublikowanych już „tomików roku” na rzecz wyłonienia najlepszego tomu przygotowanego do

druku. Fakt, że debiutanci przysłali 73 tomiki do oceny jury („łódzkiego” tym razem, pod przewodnictwem Jana Huszczy) świadczy, że organizatorzy (w tej części także Wydawnictwo Łódzkie, które nagrodzony tom wyda do przyszłego maja) odpowiedzieli na „społeczne zapotrzebowanie” młodopoezyjnych środowisk. Tak samo organizatorzy łączą spore nadzieje z rozpisaniem konkursu na dramat, którego wyniki poznamy w przyszłym roku. Pierwszy i drugi konkurs są w tym rozumieniu niewątpliwą inspiracją kulturotwórczą.

Łódzkie święto poezji upamiętnia również okolicznościowe wydawnictwa, ale o tym przy następnej okazji, bo z drukarniami nigdy nie wiadomo. Lepiej w tym przypadku pisać o faktach.

„Express Ilustrowany” nie od dziś wyróżnia się nie tylko prowadzonymi z uporem kampaniami publicystycznymi, ale akcjami o charakterze organizatorskim. Mógłbym ich tu przytoczyć dziesiątki, ale wszyscy są je przecież znamy. Choć tylko zwrócić uwagę na jeden z oryginalniejszych pomysłów kolegi z sympatycznej populudniówki.

Na niedawny jubileusz 30-lecia „Expressu” zaproszono dziennikarzy z bratnich gazet popołudniowych z całego kraju: piszących i fotografujących. I rozpisano konkurs na najlepszą publikację o Łodzi. Byłem jednym z jurorów tego konkursu i z ręką na sercu mogę powiedzieć, że realizacja tego pomysłu przeszła tzw. wszelkie oczekiwania. W dziesiątkach publikacji w gazetach, które mają wielusettyśmienne nakłady, Łódź z jej problemami kłopotami, ale także kolosalnymi osiągnięciami — została znakomicie spopularyzowana. Konkurs wygrała red. Janina Paradowska z warszawskiego „Kurier”, pozostałe nagrody rozdzielono

między dziennikarzy z Krakowa, Gdańska, Poznania, Torunia etc. Myślę, że redakcja „Expressu” najciekawiej prace „zorganizowały” Czytelnikom, bo dobrze jest czasami na własne sprawy popatrzeć oczyma innych, ludzi z zewnątrz.

A że pomysł redaktora naczelnego, Marka Regła, był strzałem w dziesiątkę, niech jeszcze poświadczą fakt „kupienia” go przez katowicki „Wieczór”. Aktualnie na Śląsk zaproszono łódzkim wzorem reporterów z polskiej prasy popołudniowej. Dobrze to bowiem okazje do wzajemnego poznania swoich spraw. Podobnych niby do siebie, ale mających swój koloryt lokalny, odrębnych w rozwiązaniach, co najbardziej ciekawe i pouczające.

Z okazji Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy przyjechał do Warszawy sekretarz generalny Związku Pisarzy ZSRR, N. Sartakow. Na specjalnej uroczystości w ZG ZLP radziecki gość wręczył grupie polskich pisarzy dyplomy honorowe ZP ZSRR „Za doniosły wkład w rozwój i umocnienie radziecko-polskich kontaktów literackich”. Wśród wyróżnionych pisarzy, m. in. Jarosława Iwaszkiewicza, Jerzego Putramenta, Jana Koprrowskiego, Zbigniewa Żalusińskiego, Wojciecha Żukrowskiego, znalazł się łodzianin — Igor Sikirycki.

Wyróżnienie Igora Sikiryckiego nie jest przypadkowe, i nie pierwsze. Kilka lat temu otrzymał dyplom uznania od Rady Ministrów ZSRR za osiągnięcia przekładowe z literatury Kraju Rad. Trudno byłoby tu przytoczyć listę przekładów Sikiryckiego, przypomnę tylko jego ostatni sukces edytorski: dwujęzyczną „Księgę przyjaciół”, wysoko ocenioną przez krytykę w Polsce i Związku Radzieckim. Więc tylko: serdeczne gratulacje, Igorze, z okazji tak poważnego wyróżnienia.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC

CZEKAJĄC NA DZIESIĘCIOLATKĘ...



Od lewej siedzą: Gerald Taron, Jadwiga Sikora, Ewa Ostrowska, Ryszard Marcinkiewicz i Maria Grabska. Foto: W. Parys

Dalszy ciąg ze str. 1

„ODGŁOSY”: — A jak na taką ewentualność zapatruje się młodzież?

R. MARCINKIEWICZ: — Z rozmów, jakie przeprowadziłem z uczniami wynika, że raczej niechętnie. Przejście ze szkoły podstawowej do szkoły średniej było w znacznym stopniu nobilitacją i awansem. Teraz tego nie będzie.

Ale wydaje mi się, że rzecz nie w tym, co teraz ludzie wiedzą o przejściu na dziesięcioletni system kształcenia, tylko w tym, co zrobić, aby wcielić jak najwięcej i aby nie byli obojętni. W moim przekonaniu im więcej jest ludzi obojętnych na sprawy oświaty, nauki i wychowania, tym gorzej pracuje się w szkole. I myślę, że wiele tu może zrobić prasa, radio, telewizja, podejmując w szerszym stopniu problemy oświaty i wychowania, przekonując ludzi, że dziesięcioletnia jest postępową, że zapewni wszystkim jednolity poziom wykształcenia, umożliwiając jednocześnie równy start do nauki zawodu.

E. OSTROWSKA: — To niewątpliwie prawda, że ludzie mało wiedzą na temat tego, co dzieje się w szkole, a jak już wiedzą, to źle i mają fałszywy obraz szkoły. Ale mnie niepokoi nie tylko niski stan świadomości społecznej na temat oświaty, niepokoi mnie także — w moim odczuciu — przekonanie, że szkoła nie jest dostatecznie przygotowana do tego, aby przejść na dziesięcioletnie.

Pisząc cykl artykułów na temat szkoły, wiele przeprowadziłem rozmów z nauczycielami i odniosłem takie wrażenie, iż do przejścia na dziesięcioletnie nie jesteśmy jeszcze przygotowani.

M. GRABSKA: — Wielu nauczycieli z niecierpliwością czeka na dziesięcioletnie. To oczekiwanie wynika nie z pogoni za nowością, a z przekonania, że w dziesięcioletnie będzie można usunąć te wszystkie niedomagania, jakie nam teraz przeszkadzają w pracy.

Czy jesteśmy do dziesięcioletnia przygotowani? Można na to patrzeć z różnych punktów widzenia. Pod względem bazy — raczej nie. Ale czy to ma zabarwiać doświadczenia szkolnictwa? Nie. Pod względem kadrowym? Trwające od lat, niestanne doskonalenie kwalifikacji nauczycielskich, do kształcenia, rozliczne kursy, które bez wątpienia doskonalą nasze umiejętności, ale też przerywają tok pracy szkoły, bo uczące się na kursach koleżanki trzeba zastępować, to wszystko jest również przygotowaniem do przejścia na dziesięcioletnie nauczanie.

G. TARON: — Nie byłbym takim optymistą. Nie przerażają mnie trudności organizacyjne. Z kadrami też nie będzie tylu kłopotów. Niepokoi mnie baza. Proszę sobie uświadomić, że w przyszłej dziesięcioletce znajdzie się młodzież o dziesięcioletniej rozpiętości wieku: pierwszoklasista i dziesięcioklasista. I jeżeli szkoły licealne można sobie jeszcze wyobrazić jako pomieszczenia dziesięcioletnia, to obecne szkoły podstawowe do takich celów się nie nadają. I to dla mnie jest problem. A przecież nie możemy się spodziewać, że dla dziesięcioletnia wybuduje się pałace.

POTRZEBNE SĄ AULE

R. MARCINKIEWICZ: — Nie byłbym znów takim pesymistą. W posz-

czególnych wypadkach można będzie znaleźć rozwiązanie, szczególnie tam, gdzie są dwie szkoły obok siebie. W innych będzie to trudniejsze. Ale chciałbym zwrócić uwagę na inny fakt, który — w moim przekonaniu przynajmniej — ma kapitalne znaczenie, a który jakoś uchodzi naszej uwadze. Wiele szkół posiada małe sale gimnastyczne, które nie spełniają zupełnie swej roli.

J. SIKORA: — A poza tym jest ich mało.

R. MARCINKIEWICZ: — To prawda. Ja jednak o sali gimnastycznej chciałbym mówić w innym sensie. Dziesięcioletnia będzie spełniała nie tylko rolę dydaktyczną, ale też wychowawczą i opiekuńczą. I w tym sensie obecne budynki, z małymi, niewystarczającymi salami gimnastycznymi nie będą przydatne do roli, jaką im wyznaczy dziesięcioletnia. Gdzie bowiem zrobić apel, gdzie spotkanie z rodzicami, gdzie przedstawienie młodzieży wybitnego człowieka, gdzie robić akademie? Oczywiście, że to robimy, ale w jakich warunkach. Proszę zapytać dyrektorów, ile razy drżą ze strachu, że coś się stanie.

W moim przekonaniu już dziś, a co dopiero mówić o przyszłej szkole, potrzebna jest aula z prawdziwego zdarzenia. Myślę, że trzeba będzie burzyć te sale gimnastyczne i budować całe skrzydła, w których powstałyby i sale gimnastyczne i odpowiadające obecnym i przyszłym potrzebom i aule.

J. SIKORA: — Ale szkoła nie tylko robi różne imprezy, które jest obowiązkiem organizować. Szkoła ma również zapewnić młodzieży wyżywienie i opiekę. I tego też nie ma gdzie robić. Nie jestem więc pewna, czy w przyszłej szkole będą niezbędne do tego możliwości.

E. OSTROWSKA: — Mogłam przekonać się, w jakich warunkach przygotowuje się dzieciom mleko czy kawę.

R. MARCINKIEWICZ: — Jeśli szkoła ma rzeczywiście spełniać te wszystkie funkcje, jakie się jej przypisuje, to musimy dysponować nie tylko odpowiednimi pomieszczeniami, urządzeniami, ale i ludźmi, którzy będą to robili. Mówiąc po prostu — potrzebne są etaty, które zagwarantowałyby szkole należyte funkcjonowanie. Szkole nowoczesnej, działającej na zasadzie sprawnie funkcjonującego organizmu.

TEMPO PRZEMIAN

„ODGŁOSY”: — Już na podstawie tego, co tu powiedziano, jak i na podstawie innych obserwacji można odnieść wrażenie, że tempo przemian w szkole jest niebывале wysokie i rodzi się pytanie: czy to czasem też trochę nie przeszkadza? Rozumiemy wszyscy, że szkoła musi nadążyć za zmianami, jakie zachodzą w życiu. To jest oczywiste. Ale w szkole wprowadzono wiele różnych nowości trochę na zasadzie eksperymentu. Czy tego typu eksperymentowanie nie utrudnia stabilnej pracy szkoły?

J. SIKORA: — Pewnie, że utrudnia. Wprowadzono na przykład instytucję pedagoga szkolnego. W moim przekonaniu instytucja ta — bo tak chyba pedagoga szkolnego moge nazwać — sprawdziła się i — jak twierdzi wielu nauczycieli — zdała egzamin. Obowiązkiem pedagoga szkolnego

było między innymi utrzymywanie kontaktu z rodzicami, że środowiskiem. Różnie to w różnych szkołach wyglądało, ale na ogół opinie o pracy pedagogów szkolnych były pozytywne.

I teraz dowiadujemy się, że od nowego roku szkolnego pedagogy szkolni pozostaną tylko w tych szkołach, do których uczęszcza więcej niż 600 uczniów. Muszę przyznać, że tego rodzaju innowację przyjęliśmy z pewnym zaskoczeniem. Wydawało się nam, że pedagog szkolny od razu znajdzie dla siebie miejsce w przyszłej dziesięcioletce.

M. GRABSKA: — Tym bardziej że istnieje przecież ogromny problem dzieci niedostosowanych. Obecnie, jeżeli psycholog zakwalifikuje dziecko do normalnej szkoły, to mamy obowiązek promować je aż do „klasy czwartej”. Ale to wszystko nie rozwiązuje problemu, bo w wielu wypadkach niezbędna jest interwencja pedagoga, gdyż mimo że dziecko kwalifikuje się do normalnej szkoły, to jego opóźnienia w nauce wynikają z przyczyn środowiskowych. A to przecież odbije się ujemnie w starszych klasach.

G. TARON: — Problem szkół specjalnych — to jedna sprawa. W społeczeństwie trzeba wyrobić przekonanie, że szkoła specjalna, to nie jest „szkoła dla głupich”, jak ją się niekiedy nazywa. Bez przemiana uprzedzeń — moim zdaniem — niewiele się zrobi.

Dla mnie druga sprawa, i to bardziej istotna, polega zupełnie na czym innym. Na tym, że wielu uczniów nie przychodzi do szkoły, po prostu — wagaruje. Jestem całkowicie pewny, że powiedzieliśmy Kazio nie był w szkole, bo wagarował. Ale przychodził mama Kazia i zapewniała mnie, że to nieprawda, bo Kazio nie był w szkole z powodów jej znanych. A przecież ona nie rozumie, że wyrządza krzywdę Kazio. Bo jak Kazio, Jasio i wszyscy inni, chodzą do szkoły i mają trudności, to my jesteśmy po to, aby im pomóc, aby współdziałać z nimi w przełamywaniu tych trudności. Są na to różne sposoby, aż do obniżania wymagań włącznie. Ale jeśli Kazia, Jasia i wszystkich innych nie ma w szkole, to my już jesteśmy bezradni.

J. SIKORA: — I tu z pomocą powinien przyjść pedagog szkolny.

ZAMKNIĘTE DRZWI

M. GRABSKA: — Tylko, że pedagog szkolny sam niewiele zdziała, jeśli nie będzie miał pomocy środowiska, różnych instytucji działających w rejonie, jakie obejmuje szkoła. Nasza szkoła na przykład współpracuje z Ligą Kobiet, Terenową Grupą Partyjną, ORMO, a mieliśmy nawet kontakty z prokuraturą i milicją. Musieliśmy nawiązać takie kontakty, bo dla pedagoga szkolnego w wielu domach drzwi były zamknięte.

Zdarzył mi się taki przypadek. Powiedzieliśmy Kasia nie chodziła do szkoły od dłuższego czasu. Próbowałam interweniować, ale bezskutecznie. Wtedy poprosiłam o pomoc działaczkę Ligę Kobiet. Poszły i następnego dnia Kasia była już w szkole. — Jak wyszła to zrobiły? — pytałam później. — A — odpowiedziały mi — nie wielkiego, w końcu sąsiedzi o sąsiadach wszystko wiedzą, posłużyliśmy się drobnym szantażem, ale przecież w dobrej sprawie...

Albo inny przykład. Nie mogliśmy sobie poradzić z rodzicami, którzy pracują u „Marchlewskiego”. Kiedy nie możemy nawiązać kontaktu z rodzicami, próbujemy skorzystać z pomocy zakładu. I to nam się udawało, tylko nie z „Marchlewskim”. Wtedy poprosiliśmy o pomoc sekretarza TGP. Ten poszedł do komitetu w fabryce, pogadali sobie i już takich trudności z „Marchlewskim” nie mamy.

J. SIKORA: — Pedagog szkolny w szkole zawodowej ma trochę inną rolę. Musi szukać innych sposobów nawiązania kontaktu z rodzicami, bo rodzice na ogół mało interesują się nauką swoich pociec. Wysłali do szkoły, niech więc o resztę martwią się nauczyciele.

G. TARON: — Organizujemy tzw. spotkania comiesięczne. Nauczyciele przychodzą, dyskutują. A rodzice? Najczęściej przychodzi ci, którzy są nam najmniej potrzebni, których dzieci nie sprawiają żadnego kłopotu i które nie mają żadnych trudności. Po ostatnim spotkaniu nauczyciele zwrócili mi uwagę, że przecież koniec roku się zbliża, że jest to ostatnia okazja spotkania się z nauczycielem, porozmawiania o problemach szkolnych dziecka, a przyszło tylu rodziców, że można ich było policzyć na palcach jednej ręki.

M. GRABSKA: — Na przykładzie mojej szkoły mogę powiedzieć, że stosunek rodziców do szkoły jest bardzo obojętny. Być może gdzie indziej jest inaczej, ale w naszej szkole komitet rodzicielski prezentuje bardzo jednostronny stosunek, sprowadzający się przede wszystkim do żądań. Komitet rodzicielski pyta na przykład, dlaczego jest tak mało zabaw dla dzieci. Dlatego — odpowiadamy, że nie jesteśmy w stanie zapewnić należytej opieki dzieciom. Proszę bardzo, pomóżcie, a będzie więcej zabaw. Ale kończy się to na pytań i odpowiedziach. Podobnie komitet rodzicielski pyta, dlaczego jest mało wycieczek, albo dlaczego pracownia historyczna nie jest pomalowana? Wyjaśniamy, że szkoła nie ma jeszcze zaplanowanego remontu, ale jak rodzice pomogą, pomalujemy.

MOŻE POZAMIATAĆ, ALBO POZMYWAĆ?

E. OSTROWSKA: — A przecież szkoła bez pomocy rodziców niewiele osiągnie. Liczy się też pomoc środowiska. Tylko, że ten wpływ może być dodatni i ujemny.

Zacznę może trochę nie na temat. Otóż moja córka kilka razy mi już zaproponowała, że pozmywa mi naczytnia, a ja jej to odnotuję w dzienniczku, co będzie jej policzone jako praca społeczna. Brzmi to niemal jak dowcip, ale to prawda.

J. SIKORA: — Na moim osiedlu można spotkać całe grupy dzieci, które biegają po sklepach i proponują swoje „usługi”. Jeden chłopczyk zaproponował nawet fryzjerowi, że mu zakład pozamiata.

E. OSTROWSKA: — Kiedy zbierałam materiały do cyklu artykułów, który drukowałam w „Odgłosach”, to byłam w Kuratorium, gdzie zapoznałam się z koncepcją prac społecznych w szkole. Bardzo to sensowna koncepcja. Ale, kiedy później sprawdzałam realizację tych sensownych założeń w praktyce, to trochę ogarniało mnie przerażenie.

Nie będę powtarzała tego, co już opisałam, ale wydaje mi się, że nieprzemysłane, formalnie tylko „odbebnione” prace społeczne, służące jedynie wypełnieniu odpowiednich rubryk w sprawozdaniach, przynoszą więcej szkody niż pożytku.

M. GRABSKA: — Ponieważ szkoły nie są w stanie same zapewnić dzieciom tzw. frontu robót, to zezwalają im na samodzielne szukanie, aby tylko praca ta była odpowiednio powiądana.

E. OSTROWSKA: — Dla mnie sam pomysł jest czymś bardzo pięknym. Ma uczyć poszanowania dla pracy, przywiązania do swego miasta, do kraju, ma wyrobić postawę obywatelskiego zaangażowania. Czyż można mieć coś przeciw takiej idei? Ale — patrząc na praktykę — można obawiać się, że przynosi ona niekiedy przeciwne skutki.

J. SIKORA: — Myślę, że nie zawsze tak jest. Myśmy na przykład sprzątali nowo wybudowane pomieszczenie zakładu opiekuńczego. W zamian zakład dał nam na cały dzień autokar i pojechaliśmy z klasą na wycieczkę do Warszawy. Jeśli młodzież widzi cel swojej pracy, to ma do niej inny stosunek.

G. TARON: — Ja uważam, że jeżeli nie ma dobrze przygotowanego frontu robót dla prac społecznych, to nie należy ich podejmować, bo tylko więcej to wyrządza szkody niż przynosi korzyści.

Uważam jednak, że dzieci powinny w domu pomagać rodzicom. I my damy dzieciom takie zadania. Nie mamy możliwości kontroli. Dzieci po prostu składają sprawozdania. Czy i kiedy kłamią? Tego nie wiemy, ale musimy mieć do uczniów też trochę zaufania. Chcemy przede wszystkim wyrobić u uczniów pewien nawyk.

M. GRABSKA: — A o front robót — taki właśnie dobrze przygotowany

— coraz trudniej. Fabryki i inne przedsiębiorstwa jak mogą, tak bronią się przed młodzieżą.

G. TARON: — Nie można popaść jednak w drugą skrajność i w ogóle zrezygnować z prac społecznych.

M. GRABSKA: — Nikt nie ma takiego zamiaru, ale byłoby też dobrze, gdyby przy okazji liczenia młodzieży przepracowanych godzin pracy społecznej, policzono je i nauczycielowi. A o tym, że nauczyciel bardzo dużo pracuje społecznie najczęściej się zapomina.

R. MARCINKIEWICZ: — Potrzeba nam współpracy wszystkich środowisk, potrzeba współodpowiedzialności za wychowanie młodzieży. Szkoła dziś nie jest wyizolowana ze społeczeństwa, żyjąca własnym życiem. Przeciwnie jest ona bardzo uczulona na wszystko, co dzieje się wokół. Ale też czasem te działania — szkoły i różnych środowisk — podporządkowane są różnym celom.

Podam drobny przykład. Kręcono w Łodzi film pt. „Hubal”. Grupa chłopców z mojej szkoły miała tam być statystami. Nim poszli, wygłosiłem im pogadankę, aby zachowywali się grzecznie, byli uprzejmi, nie rozrabiali. Jak wrócili, w nos mi się śmiało. Panowie filmowcy brzydki się wyrażali, demonstrowali ubóstwo językowe, posługując się jednym czasownikiem dla określenia różnych czynności, nie byli uprzejmi, grzeczni... Ja chłopcom pokazałem inny obraz twórców, oni zobaczyli zupełnie inny. Co sobie pomyśleli o mnie i o moim widzeniu świata?

MIEJSCE NA INICJATYWY

G. TARON: — W społeczeństwie utrwalili się pewien określony schemat szkoły i choć nie pasuje on już do szkolnej rzeczywistości, to nadal funkcjonuje. Uważa się na przykład, że szkoły mają obowiązek wykonywania prac społecznych. Byłem kiedyś na takim spotkaniu, kiedy wręcz powiedziano, że szkoła ma obowiązek opieki nad dziećmi. A kiedy powiedziałem, że dobrze, chętnie się tym zajmijmy, tylko dajcie nam do pomocy fachowca, ale dopiero po godzinie 14, to zapanowało wielkie oburzenie. Jak to, po godzinie 14, przecież oni pracują tylko do godziny 15.

E. OSTROWSKA: — Bo szkołę traktuje się często jak ubożego krewnego. W szkole uczeń, staje się partnerem nauczyciela, ale w społeczeństwie szkoła nie jest jeszcze partnerem dla wielu instytucji. Byłem niedawno na spotkaniu w szkole zbiorczej i tam dowiedziałam się, że szkoła otrzymała w prezencie autokar. Można byłoby pomyśleć, że to powód do radości. Ale nie. Dla dyrektora tej szkoły był to powód do niestannego smutku. Szkoła otrzymała bowiem autokar przeznaczony do kasacji. — I co teraz będzie — martwi się dyrektor — jak to pudło roztrząska się na przydrożnym drzewie, kto będzie odpowiadał?

G. TARON: — Taki stosunek do szkoły bierze się stąd, że szkoła dla środowiska nie jest atrakcyjnym partnerem. Inaczej może to wyglądać w małych miasteczkach, czy na wsi, ale w dużym mieście, gdzie działa tyle różnych, bardziej atrakcyjnych instytucji, szkołę traktuje się jednostronnie, jako instytucję powołaną do uczenia i wychowywania.

Mnie się wydaje, że my też popełniamy błędy, działając w szkole według jednego systemu, według takiego samego schematu. Na przykład eksperyment poznański. Czy wszystkie szkoły muszą go przyjmować w jednym kształcie? A jeżeli w mojej szkole pewne rzeczy nie znajdują potwierdzenia, są nie do przyjęcia, to czy nie mam możliwości szukania indywidualnych rozwiązań, bardziej odpowiadających tradycji i specyfice mojego rejonu? Myślę, że pewna indywidualizacja szkolnego działania, w zależności od możliwości zespołu, od potrzeb środowiska, uatrakcyjniłaby w społecznym odczuciu szkołę, stworzyłaby nam bardziej elastyczne możliwości działania.

R. MARCINKIEWICZ: — Tak, uważam że wielkim błędem naszej szkoły jest to, że my nie możemy wychowywać zgodnie ze swymi możliwościami, rozwijając takie formy pracy wychowawczej, do których nauczyciele danej szkoły mają inklinacje, predyspozycje czy zamiłowania, organizować takie imprezy w szkole, o których wiadomo, że się udadzą i przyniosą wiele korzyści, prowadzić takie koła zainteresowania, do których mamy w danej szkole specjalistów, itd., itd.

Myślę, że może w dziesięcioletce uda się stworzyć poszczególnym szkołom większą autonomię. Mam przynajmniej taką nadzieję.

Przedstawiamy Czytelnikom tylko fragmenty redakcyjnej dyskusji. Całość została nagrana na magnetofonie i będzie nam służyć jako inspiracja przy nadelowaniu w przyszłym roku szkolnym wielu problemów współczesnej oświaty.

Opracowała:
BOGDA MADEJ

DEBIUTY - 76

JANUSZ SYKAŁA

WIDZIAŁEM RONSARDA

widziałem Ronsarda
szedł gwizdząc melodyjkę
z „Ojca chrzestnego”
był trochę podpiły
z ołówkiem w uchu
wyglądał dziwnie
gdybyś go widział czarnoleski Janie
w czerwonym podkoszulku
i wytartych welwetowych spodniach
był bosy — niósł ludziom szczęście
dziwne
widziałem Ronsarda

ANDRZEJ KAZIMIERZ BEDNAREK

WSPOMNIENIE O DZIADKU

Niepokoja mnie cienie
Skaczące po białych kartkach
Nie wiem
Czy powtórzy się chwila
W której mój dziadek wpadł przez okno
Na czele szwadronu aniołów
Cienie tkane są misterną
Siatką zapomnienia
Mogę już nie poznać dziadka
Gdy wróci
Aby sprawdzić jak realizują jego
Cząstkę wieczności
Patrzy na mnie
Z pożółkłych fotografii
I mówi w myślach moich
Słyszę jego słowa w ustach bliskich
Które zapewniają mu
Nieśmiertelność

grudzień 1975 r.

BOŻENA PAWEŁCZYK

MOJEJ MATCE

Zwykły ryłec czasu
wyrzeźbił mnie przed laty
w marmurowym tonie
mojej śniadanej matki.

Nie licząc ojca
noszę w sobie jej krew,
którą mi podarowała
gdy wyruszałam w świat:
wzdłuż nóg
poprzez kołyskę
w ludzki tłum.

A ja niewdzięczna
ukradłam jej
jeszcze serce,
jej lekkość sarny,
egejską urodę:

Teraz oszukuję ją
swoją młodością.

Staraniem Komisji Kultury Rady Łódzkiej FSZMP i Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy „Wiadukt” w Spółdzielczym Domu Kultury „Lutnia” odbył się wiosenny Turniej Poetycki DEBIUTY 76.

Jak większość podobnych imprez, również i ten konkurs dowiódł, że społeczność ludzi piszących, juniorów i seniorów, jest bardzo liczna, że fascynacja poezją i potrzeba wypowiedzi literackiej występują znacznie powszechniej, niż się to na ogół wydaje. W ciągu kilku dni od ogłoszenia komunikatu organizatorzy turnieju otrzymali ponad pięćset utworów, toteż ocena takiej ilości tekstów stanowiła dla jury trudne zadanie.

Sąd konkursowy w składzie: Jadwiga Gościńska, Mirosław Kuźniak, Jerzy Poradecki (przewodniczący), Jerzy Rzymowski i Henryk Zasławski przyznał następujące nagrody:

— pierwszą Januszowi SYKAŁE za wiersz „Widziałem Ronsarda”,
— dwie drugie Andrzejowi Kazimierzowi BEDNARKOWI za wiersz „Wspomnienie o dziadku” i Bożenie PAWEŁCZYK za wiersz „Mojej Matce”,
— dwie trzecie Ewie M. MODRZEJEWSKIEJ, za wiersz „Niepokój” i Ewie M. STEFANSKIEJ za wiersz „Rozmowa współczesna”.

Nagrodę publiczności otrzymała Bożena PAWEŁCZYK.

Dodajmy, że imprezę poetycką uświetniły występy znakomitych artystów scen łódzkich: Delfiny Ambrozjak, Maril Białobrzelskiej, Tadeusza Kopackiego i Jana Zdrojewskiego.

Magdalena pracowała jak w malig-
nie, jak zaznaczona. Nie zwracała
uwagi na paplanie Dany, na wzajem-
ne „dogryzki” najmłodszej siostry z
najstarszym szwagrem. Krojła szynkę
na gruszkowej desce. Deska? Jak inne.
Nie! O, nie! Nie, jak inne!
Ta deska pamiątkowa. Zabytkowa,
gdyby czasem ją mierzyć. Od kogo?
Tajemnica. Słodka tajemnica. Imię
ofiarodawcy wzbudza ciepło między
udami, drażni sutki. To majster! W
każdej robocie! Och! — nieświadomie
westchnęła, przeciągała się lubieżnie.
Zwróciła na siebie uwagę siostr. Za-
raz zaczęła nucić „Zegarmistrza świa-
ta”. Dziewczynkom, czyli siostronom
ta piosenka wyjątkowo się podobała.
Brr! Nóż od Gerlacha. Adam nie bierze.
To nie bierze, akcentuje, koniecznie
w cudzysłowie. O czym myślisz?
Oczywista, Adam nie bierze za usługi.
Nie, to nie łapówka. To „dobre”
za „dobre”. Pieklili się Adam, kiedyś,
kiedy przywoziłam: — Jak mogłaś?
— mogłam, bo dyrektor prosił, żebym
wzięła dla ciebie. Wzięłam. Mogłam
odmówić? — Taki wspaniały kom-
plet! Odesłać? Co? Stać cię na kup-
no? Bajdurzysz. Ostatnio wiążemy ko-
niec z końcem. Gdyby nie twoje na-
grody — poszlibyśmy „z torbami”.
Gdy, gdy! Gdą kroj szynkę. Mieszka sio-
trom i sobie w głowie. Ha, ha, ha!
Dobry mi! Dobrze za dobre. Moja deska,
tajemnica, słodka tajemnica, psst,
też „dobre za dobre”, też „słodkie za
słodkie”. Głupia ta cała filozofia eroty-
czna. Seksowa. Adam też zrobił de-
skę. Też gruszkową. Obiektywnie

mamusi będzie łzej i mnie będzie
łzej. Nam wszystkim będzie łzej. Co?
A może urodzi się dziewczynka? Nie
chłopiec... Ja to wiem... Tak, zwątpie-
nie wierci moją pewność... Adam ma-
lował obrazki ze scenkami z dziećmi.
Szkicował ukradkiem maluchów.
Skladał niektóre, bardziej udane, w
kompozycje. Te, planowe, nowoczesne,
nieco inne od znanych, odmienne od
klasycznych. Gadu, gadu, gadu, tra,
tra, tra! A jeśli urodzi się dziewczynka?
— pytałam Adama. Nie, nie, nie
będzie dziewczynki. Będzie chłopak.
Jak Adam w to wierzył. Wojna —
czas grozy — pomimo, był dla mnie
czasem pięknym. Adam często mowił:
— Musisz być otoczona pięknem,
musisz żyć w spokoju, bez troszc, ra-
dości. Adam czynił wszystko w tych
niespokojnych czasach, aby dać mi
maksimum zadowolenia, ciepła i swo-
body. Znałam go. Trzymał z komu-
nistami. Najwięcej z Adrianem, któ-
ry był jeszcze wachmistrzem. Później
awansował do stopnia pułkownika.
Przenosiłam mu komunikaty za pod-
szewką paska. Adam widział w prze-
mijających sukcesach Hitlera jego u-
padek i zgubę. Często powtarzał: —
Napoleońskie konfrontacje. Właśnie
wtedy zaczął moją edukację. Ileż zdzi-
wiałam Adama! Do matury przy-
gotowałam! Cóż bym była warta? Kim
byłabym? Dzisiaj mam za sobą stu-
dia polonistyczne i dziennikarskie. Je-
stem równie znaną jak znany jest
Adam. Hola, hola, Gdu, Gdu, Gdusiu!
Kto inny o tym coś może powiedzieć.
Nie przesadzajmy z tym „równie”, po-

Życie „ze zgrzyotą” jest trudne, bar-
dzo trudne, czasem, gdy jest się sa-
łym, mało warte.

Adam: On swój. Nie ptok, mówili
„mieszczanie”, z zapaszkami wiejskim!
On mnie ubóstwiał. Jak źle być lek-
komyślną. Źle, bardzo źle! Właśnie lu-
dzie oceniają człowieka. „Swój”, „dia-
nas”, „z nami” pracuje. Dobry oby-
watel. Dobry Polak. Kocha dzieci,
młodzież i starców. Tacy to najpraw-
dziwsi, najszczerzy, najlepsi ludzie.
Więcej dobrze nam się działo. Tajne
komplety nauczania prowadził. Pro-
gram? Gimnazjalny! To były lekcje!
To była nauka! Siedziałam, jak mysz,
cichutko, słuchałam, ugruntowywałam
przerobiony materiał. Jakże się wte-
dy młodzież uczyła! Jak była zorga-
nizowana! Jak na alarm umiała się
sprawnie i szybko „rozprysnąć”,
„wsiąknąć, jak kamfora”. Dwie, trzy
minuty i śladu po nauce nie było.
I książek nikt by nie znalazł. Tłuma-
czenia z góry przygotowane. Te „z in-
nego worka”, odwracające uwagę. Kto
się nie uczył? — Swoi, poznaniacy a
potem i warszawicy. Dzieci krzaków
i ptoków, jedna rodzina. I ten zapal,
i ta wiara! Wszyscy mocni, zorganiz-
owani. Szlachetni są Polacy w nieszc-
zęściu! Byliśmy syci. Popularnie mó-
wiliśmy wtedy: — Mamy chleba pod
dostatkami. A wszystko za tajną nau-
ką. Mąka, kasza, groch, „rabanka”,
ryby, kupnik materiału na „wdzian-
ko”, welenka na skarpetki, rękawice
i swetry. Niekiedy mogli dać tylko
emisyjne. Przecież było tych niby
drobnych wydatków co niemiara. Tak

BOLESŁAW WOJEWÓDZKI

MAGDALENA KONTRA MAGDZIA

przynać trzeba, że ładniejszą, prak-
tyczniejszą, „pamiętniejszą” wczes-
niej. Już po niej, zużyła się. I to wte-
dy, kiedy ją otrzymałam. Śladu po
niej nie ma! Spalona! Dwie? W takim
przypadku! Jakim przypadku? To sło-
dka tajemnica. Tylko jedna deska, ta
pierwsza kłuta by w oczy. Nawoły-
wała do opamiętania się. Nie ma tam-
tej pierwszej. Jest ta, druga. Tak musi
być. Przecież zostały jeszcze stolice,
walki, bijaki. Adam umiał to
pięknie robić. Co za cierpliwość! Co za
dokładność! I to z suchych okrągła-
ków, przy pomocy pił, ośników, stru-
gów, czasem laubzegi, szklitego pa-
pieru, szkła, dobrego szczyrzyka. W
wykonywaniu monogramów przewyż-
szył górali. Odważył się zrobić me-
ble. Wiejski stolarz tylko suche bale na
deski pościł i wylał. Wiadomo, oku-
pacja. Trzeba było „po cygańsku”
żyć — jak mówiono. bo: — My ko-
zownicy lub dzisiaj tu a jutro tam,
przy tym pokazywało się ziemię, że
niby, w głąb, pod szpadel, nie zawsze
w deskach. Meble były składane, na
zaczepty, szafy, tapczan, etażerki, kre-
dens, taborety — skrzynki. W ciągu
godziny rozbierało się meble na stosik
desek i deseczek. Było tedy czasu, by-
ło. Pamięta. Okno. Diabła Góra. Jak
chochoł, ubrana w mgłę. Mieszkanie?
W nim zapach, pokutujący po żydow-
skim krawcu. Wywieziono go do get-
ta w powlecie. Czasu było dużo. Dru-
ty, igła, wełny, nici. Och, sztywnieją-
ce palce. Swetry, rekawice, skarpetki,
makiaty — dla siebie, na zarobek.
Adam tu się zaszł. Dwieście dziesiąt
emisyjnych złotych. Kartki żywności-
owe. Małe porcje. Wielki apetyt. Ratu-
nek w rzece. Czarna! Rzeźba rybna
i raczna. Ach, jak tu brały klenie!
Wedka? Najprymitywniejsza z wędek!
Chytre były klenie! Co Adam zarzu-
cił? wedkę — już, wnet, skoczył „ape-
tytowicz”. Już go zdejmowała z ha-
czyka. Czasem Adam zwoił ich kil-
kanaście. Na obiad i na kolację star-
czyło. Z lasu nie korzystaliśmy, no,
bo las tutejszy obfity „w swoje skar-
by” i w „Jedrusiów”. Łatwo można
było dostać się w matnie, z której za-
wyczaj nie wychodziło się.

Trzeba było umieć sobie radzić.
Adam umiał „dorabiać”. Był specja-
lista od tajnego nauczania. Emisyj-
nych złotych nie brał. Lepszy był to-
war. Towar najpotrzebniejszy: — ma-
ka, kartofle, „rabanka”, wełna, na te-
żyki, „na ciał”. Żył sie. Adam także
dużo pisał. Deklamował swoje wiersze,
czytał opowiadania. Grał na
skrzypcach. Nawet komponował melo-
die do niektórych swoich wierszy. Ta
o lotniku... „nie zapominaj o mnie” była
prześlizgnięta. Zaczęła nucić mormo-
rando. To było dawno... Zdrada po
tym. I ta druga deska po tym. Krzy-
sztofek zaczął wtedy kopać noki. Jak
słodko kopał! Bębnił pod penkiem.
Adam nasłuchiwał. Był w siódmym
niebie. Często przykładał ucho do
brzucha. Rozmawiał z dzieckiem: —
Syneczku, kiedy się urodzisz szczęśli-
wie, ho, ho, ho! Co? Był przeżyć. Je-
szcze nie „hohać”. Wygramy wojnę.
Ho, ho, ho! Właśnie! Ho, ho, ho! In-
nymi będziemy. Inna będziemy mieli
Polskę! Tobie syneczku, będzie łzej,

wiedzy „kapeczkę” mniej, ale prae-
wie... Adam był przezorny, mądry,
przewidyjący. Znał się na ludziach.
Wiedział „z kim” i „co” można. Miał
szczęście. Miał instynkt. Nawet pod-
czas okupacji szara eminencją został.
Dobrze znał go Tonowcy. Zawsze sta-
rał się być w cieniu. Ryzykanckim był
tylko w wielkich sprawach. Ze „tref-
ny” wiedzieli niektórzy, równie, jak
on, ryzykanci, grający wyłącznie o
najwyższą stawkę.

Tu, w powiatowej mieścinie, jak się
wyrządził: — Nie podlegaj od Betlejem,
był swoisty świat. Ludzie dzielili się
na „krzaków”, i na „ptoków”, na
miejscu urodzonych i przybyłych „Bóg
wie skąd” — naleciałości. My — Adam
i ja — także byliśmy „ptokami”. Była
szkoła, bo był budynek. Budynek szko-
ły zawsze i przede wszystkim służył
celom wojennym. Toteż Adam rzad-
ko uczył. To była karykatura naucza-
nia. Bez programu! Ze „Sterem”! Cho-
lera! Programowa kpina! Ersatz! Na-
miastka! Wszystko dla Niemców!
Drek dla Polaków.

Siostronie klepały swoje pleciugi i
ploteczki, nowinki i nowineczki. Star-
szyna Gda-Gdusia gdała, w prze-
nośni, epopeję o tej drugiej desce. Od
czasu do czasu odchodziła do inter-
nackiej kuchni, zapoznawała się z
przebiegiem kucharskich trofeów.

Dziwny jest ten świat! Nie, to nie
naśladowanie Niemena! Po prostu tak
mi się powiedziało. Ja — Magdalena
— na wzór tej biblijnej stworzona,
kobieta, zresztą nie lepsza i nie gor-
sza od innych kobiet, przyznaję, że
kobieta zmienna jest. Nigdy nie przy-
puszczałam, że odważyłabym się
zdradzić Adama. Czy ciekawość „jak
to z innym?”, czy chęć „podłożenia
się innemu?”, czy chęć „podłożenia
się innemu?”, bo jest okazja. Prawda,
co mówią koneserzy miłości: — Każ-
da miłość jest pierwsza. Takie „tra-
-la-la! Więc wierność dożonna? Prze-
sąd! Nie zdradza ten, ta, jeśli nie ma-
ją okazji do zdradzenia, jeśli nie ma-
ją chęci do spółkowania z innym, z
inną. Chuć, chuć i jeszcze raz chuć!
Jak się przekwita a chłop „ledwo wy-
susił się” to co robić? Po świe-
cie iść? Wszystko potrzebuje swego. Co
to znaczy? Trzeba umieć się dobrać.
A może trzeba mieć szczęście w tym
dobre? Ach, jakie to trudne, i jakie
różne! Przecież kobieta nie pójdzie z
innym na gody, jeśli jej „ślubny” czy
jej „przypisany”, zadowolony ją. Podob-
nie z mężczyzną. Jeśli żona, kochanka,
nie daje mu zadowolenia seksualnego
szuka takiej, która mu to zadowolenie
daje. Proste. Bez filozofowania. Tak,
tak. Ale człowiek, to człowiek, ma
mniej lub więcej instynkt. Mało też
jest takich, którzy „umią zachować
twarz”, nie wydadzą się miłą, słowem,
okiem. Adam teraz szczególnie pamię-
tała moją zdradę. Pal licho! Dzieci do-
rosłe! Spełniliśmy rolę. Odegrali my
rolę. Każde z nas „ma swój świat”.
A „miłosny igra” już nam się nie
chce. Fenomenalne! Minął czas go-
dów. Czego tak żal, czego? Czemu tak
smutno, czemu? Dlaczego nie rozma-
wiamy tak, jak rozmawialiśmy daw-
niej, jak rozmawiali moi rodzice —
Agnieszka i Grzegorz? A jednak le-
piej jest mieć czyste sumienie, lepiej.

żyli „krzoki” i „ptoki” dla „ptoka” i
„ptok” dla „krzaków” i „ptoków”.
Dobrze „szło”, „się wi”. Jakich wyra-
żeń wtedy człowiek nie używał? Ciep-
ło nam było „na duszy” i w pokoju
mieliśmy „węgiel na węgiel”, „drze-
wo na drzewo”. Studenci i profesor
muszą mieć ciepło! TON-owy Komitet
Rodzicielski, taki „chodzący”, taki
„przygodnie zebrany” uchwalili taki
„ludzki kontyngent” dla „profesora”.
„Studenti” albo mamusia dostarcza-
li wiktuały lub ekwiwalenty w naturze.
No, kto by sądził, że dzisiaj ci chłop-
cy — „studenci” są magistrami, pro-
fesorami, doktorami, oficerami! No, no,
no, Adamie, ilem ci winna! Dlaczego
jednak taka jestem, jaka jestem?
Magdalena mocniej naciska szynkę
nożem. — Pokrajałabym siebie, pokra-
jała deskę. Wychodzą niezgrabne plas-
try. Plasty? Toć grube kawały, kupy!
Tylko do bigosu się nadają. Nie de-
nerwuj się, Gdusiu, uratować nas mo-
że tylko spokój. Zdawkowe słowa.
Banaly. Wyprane przez czas. Rodziny
ny zjazd. To z okazji dnia Adama. Ja
do asysty. Żona? Też mi żona! Sły-
szycie! To ja sama mówię! Ja nie
warta-Adama! — Cicho, cicho, Mag-
dalena, opanuj się! Siostry już coś
wężą. Co za obuda. A tu padają
często słowa: — Wy tak razem. Tyl-
ko razem. Zawsze razem! Jakże te
słowa śmierdzą kłamstwem i cham-
stwem. Brrrr! I bądź tu mądra. A
to węzeł. Nie lada jaki! Bardziej spła-
tany od węzła gordyjskiego. Tylko
miecz, synonim kary, szybko rozstrzy-
gnie. Im szybciej tym lepiej. Co ja
robie? Co to będzie? Razem? Jakie ra-
zem! To ja spowodowałam rozłam. To
ja pierwsza zrobiłam wyłom w nasz-
ym „razem”. Adam? Nie, on mnie
dotąd nie zdradził. Ja już go dobrze
znam. Zadnych poszłać nie mam.
Wiem, babki na niego „leca”. Wiado-
mo, na takiego mężczyznę. Jasne!
Adam „na te sprawy” nie ma czasu.
Ale może mieć. I to wątpliwe. Ma
„swoją twarz”. Teraz jednak nie od-
wiedza mi w łóżku. Ileż razy mia-
łam chęć pójść do niego! Nie śmia-
łam. A źle robiłam. Fe! Jestem per-
fidna! Jestem wyuzdana. Więcej u
mnie fałszywego wstydu niż u każ-
dej innej z moich siostr. My razem?
— Co za obraźliwa konfrontacja! A
może on nic o mojej zdradzie nie wie?
Może nie chce wierzyć, jeśli mu do-
niesiono? Prawda, czego oczy nie wi-
dzą, tego sercu nie żal. Czasem to
lepiej złamać lub zwiechnąć nogę, że-
by nie dojeść do gówna. Tak, „wlażam
w gówno”, ono mi „sumienie osmro-
dziło”. Brr Nóż... I myśl o krw...
Skąd to? Wobec tego „my razem”.
Gdu, Gdu, Gdusiu! Idioci! Samobi-
czująca się idiołtka! Spokój! Cicho!
Nie „rozklejaj się!” Wytrzymaj! Tak
dobrze kamufłujesz swoją rozterkę.
„Famuła” mało, albo wcale, nie, a nie,
nie domyśla się, że w duszy twojej
rozgrywa się aż takich rozmiarów tra-
gedia, tragedia o pozycję twoją, jak
powiedziałaś, że jesteś na tym rodzin-
nym zjeździe „do asysty” Adamowi.

Wyjątek z powieści „Ludzie jak
ludzie”, nagroda III stopnia w Ogólno-
polskim Konkursie Literackim „Zie-
mia Stefana Żeromskiego”.

POWSTAJE FILM

DUSZEŃKA— NORWESKA MUZA KRAKOWSKIEJ MODERNY



Foto: Zofia Trzepakowska

Dalszy ciąg ze str. 1

Przesuwanie kamer, poprawki charakterystyki, próba światła. Wreszcie po mozolnej półgodzinie — nowy klaps.

Do kawiarni wchodzi Władysław Emeryk — Olgierd Łukaszewicz — spakobierca ogromnej fortuny, satelita cyganerii artystycznej; dostrzega Dagny i Przybyszewskiego, zajmuje stolik w kącie kawiarni i dyskretnie obserwuje towarzyszkę życia pisarza, znaną mu już skądinąd muzę berlińskiej, a teraz krakowskiej moderny. I nikt jeszcze nie wie, jak bardzo ważne i brzemienne w skutki będzie to spotkanie.

1.

„Dagny”, film reżyserii Haakona Sandoya, to pierwsza w dziejach naszej kinematografii współprodukcja polsko — norweska, przedsięwzięcie pełne realizacyjnego rozmachu, przygotowywane przy współpracy wytwórni DeFa w Berlinie, Grupa — Film w Tbilisi, bezpośrednio zaś realizowane i finansowane przez Zespół Filmowy „Przymat” oraz wytwórnię Norsk — Film A.S. w Oslo.

Akcja filmu rozgrywa się w Norwegii, ojczyźnie tytułowej bohaterki, po-

tem przesuwając się będzie szlakiem jej barwnego życia poprzez Berlin, ówczesną stolicę bohemy, Kraków, zarżony przez Przybyszewskiego bakcyliem dekadencji, aż do Tyflisu (Tbilisi), gdzie nagłe i tragicznie kończy się jej życie.

Fascynującą postacią Dagny Przybyszewskiej kreuje Norweżka, pierwsza grandezza Teatru Narodowego w Oslo, Lise Fjeldstad. Trudne aktorskie zadanie tej znakomitej aktorki ułatwił fakt, że Dagny nigdy nie nauczyła się mówić po polsku, ze swym mężem porozumiewała się po norwesku i niemiecku. Rolę Stanisława Przybyszewskiego reżyser powierzył Polakowi, jednemu z pierwszych aktorów filmowych, Danielowi Olbrychskiemu, Augusta Strindberga gra doskonały aktor szwedzki, znany nam z „Głodu” według Knuta Hamsuna i „Mojej siostry, mojej miłości”, Per Oscarsson, Edvarda Muncha — kreuje młody Norweg Nils Ole Ostebro, zaś ostatniego z wielbicieli Dagny, jej zabójcę, Władysława Emeryka — Olgierd Łukaszewicz.

2.

Kim była Dagny Juel, jakie cechy jej osobowości sprawiły, że stała się muzą i przyczyną twórczą Edvarda Muncha, Augusta Strindberga, Gustawa Vigelandta, fascynacją braci Brzozowskich i Stanisława Wyspiańskiego,

zguna Tadeusza Boya — Żeleńskiego, który desperacko porzucił wówczas studia i zaciągnął się do garnizonu „w felczery”, aby móc sprostać finansowym wymaganiom sytuacji. I wreszcie Władysław Emeryk, jej zabójca czy też ofiara? Zastrzelił się w chwilę po śmiertelnym strzale do Dagny, a jego ciało znaleziono w pokoju tyfliskiego hotelu obok postania ukochanej, w pozycji, wyrażającej hold i uwielbienie.

Krótkie życie Dagny Juel obfitowało w wydarzenia barwne i niezwykle: w dwudziestym piątym roku życia opuściła rodzinną Norwegię, kraj purytański wówczas i ubogi, gdzie jej bujna osobowość nie mieściła się w obowiązujących kanonach intelektualnych i obyczajowych. Zamieszkała w Berlinie, ówczesnej Mekce europejskiej cyganerii artystycznej, miście, odpowiadającym zarówno jej temperamentowi, jak inklinacjom twórczym — biografowie sugerują jej wysokie uzdolnienia pisarskie i muzyczne.

W scenarii berlińskiej restauracji „Pod Czarnym Prosiakiem”, miejscu spotkań artystów, zaczynały się i kończyły kolejne burzliwe romanse Dagny, z Berlina też zabral ją do Krakowa, już żonę i matkę swoich dwojga dzieci apostoła i idola polskiej moderny, Stanisława Przybyszewskiego. Historia ich małżeństwa, jest dramatycznym zapisem niedostatku i konfliktów po literacku egzaltowana, jak samo życie okrutna.

Przybyszewski, ten mit niemal narodowy, artysta i kreator, życia i sztuki, był, jak wspominał współczesni jednym z tych, którzy „powołali się na wielkie idee, aby móc czynić swoje drobne świństwa”. Doktryner, mitoman i orgiasta, narkoman i alkoholik, a zarazem osobowość tak sugestywna, że udawało mu się narzucić odczuciu swe mistyfikacje, przez wiele lat w gnuśnym mieszczańskim Krakowie pełnił rolę arbitra ars vivendi, sztuki życia i sztuki pisarskiego. Był to człowiek, który, jak mało kto w tym czasie osiągnął tożsamość i spójność swą dekadentką, nieco perwersyjną epoką, z jej kultem szatana, okultyzmu i magii, „wyrażaniem niewyrażalnego”. Dagny, zaniedbywana i obca, gdy kolejny romans męża, tym razem z żoną Jana Kasprowicza skomplikował jej życie, wyjechała wraz z Emerykiem na Kaukaz. Tam właśnie spotkała ją śmierć, tak samo nagle, jak żyła, i, zda się literacka, jak całe jej życie. I do dziś pozostaje zagadką, czy była ofiarą, czy też inspiratorką tyfliskiego wydarzenia, czy była, jak chciał Munch „smukła, czysta i wolna”, czy też „demoniczna i niszczyca”, jak widział ją Strindberg, i czy rzeczywiście miała jakieś cechy „niedostępnego ideału”, jakim zdawała się zakochanemu Emerykowi. Postać ta nadal fascynuje twórców polskich i obcych. Niedawno ukazała się interesująca biografia Dagny pióra Ewy K. Kossak.

3.

Jak doszło do realizacji tego filmu? — czy zwyciężyła koniunkturalna chęć prezentacji jeszcze jednej biografii historycznej, tak wdzicznie przyjmowanej przez publiczność, a może stało się to w sposób mechaniczny, dlatego, że Dagny przypadkowo połączyła swój los z Polakiem? Oddajmy

głos pomysłodawcy i reżyserowi filmu Haakonowi Sandojowi:

— Bardzo istotne dla mojej decyzji podjęcia tego filmu — mówi twórca staranna i płynna polszczyzną — były przyczyny już zupełnie osobiste — kilka lat życia spędziłem tu w Polsce, ściślej — w Łodzi, gdzie studiowałem reżyserię w ówczesnej Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej. Miałem więc dobrą okazję poznać polski język, ludzi, kulturę, to, co nazywa się klimatem kraju i psychiką narodu. Z pewnością predyspozycje te ułatwiły mi wybór tematu mojego filmu. Inną przyczyną jest tu niewątpliwa „europejskość” postaci Przybyszewskiego, animatora środowiska artystycznego Berlina i Krakowa, człowieka, który kształtował umysły epoki moderny, lansował kanony sztuki, dyktował obyczaje. Postać ekspresyjna i wieloznaczna, szalibier i mistyfikator, a zarazem człowiek głęboko tragiczny. Czy on był zły? — filozofia mówi nam, że nie ma ludzi jednoznacznie złych lub dobrych. Może występował tam brak wyobraźni uczuciowej, może moralnej? Jednoznaczne określenie tej postaci byłoby chyba jakimś psychologicznym prymitywizmem...

— Zła reputacja tego człowieka — mówi Daniel Olbrychski — sprawiła, że długo wahałem się, czy podjąć tę rolę. Nie lubię, żaden zresztą aktor nie przepada za rolami jednoznacznie negatywnymi. Ale gdy dotarłem do źródeł, współczesnych, Boya-Żeleńskiego, Helzstygskiego, okazało się, że nie jest to takie proste. Była to postać jakby pęknięta, przelamana, zawierająca cechy egoisty i kaboty, ale zarazem wiele elementów natury hojnej i szlachetnej. I jak szalonej! Na pogrzebie ktoś powiedział — „Pogrzeb — potrzebem, ale był to po prostu zwykły demoralizator”. Natomiast Boy — Żeleński, pierwszy przeciwnik racjonalista i sceptyk, nazwał go „wiatrem od Krakowa”. Czy twórczość Przybyszewskiego jest jeszcze straszną? Nie wszystko, z pewnością ani poezja, ani powieści, lecz skłóca filozoficzne wydają się nadal fascynujące! Przekleństwem jego dorobku pisarskiego był fakt, że wcześniej, a więc główne swoje utwory pisał po niemiecku; i w tym właśnie języku są one znakomite, drapieżne, pełne życia i ognia. Te same utwory przetłumaczone na język polski wydają się mdłe i zupełnie nieciekawe. W sumie — podjąłem się tej roli, zanurzenia się w postać kontrowersyjną i znaczącą, jest to jeszcze jedna ciekawa przygoda aktorska. Czy będę potrafił obronić tę postać przed publicznością, szczególnie kłobocą? Nie wiem. Może wystarczy, że udowodnię, że „normalność” artysty zaczyna się tam, gdzie kończy się normalność życia?... ”

4.

Pozostała jeszcze realizacja zdjęć w Tbilisi, montaż. W grudniu — odebądy się dwie równoległe premiery: w Polsce i w Norwegii, w Warszawie i w Oslo. Pierwszy długometrażowy film Sandoya „Brannen” („Ogień”) pozyskał sobie popularność szarokiel skandy-nawskiej widowni. „Dagny” z uwagi na warunki produkcyjne ma jeszcze większe możliwości ekspansji.

ELŻBIETA
KRÓLIKOWSKA

KSIAŻKA

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

WIERNY POLITYCE

W bogatym dorobku twórczym Jerzego Putramenta liczy się przede wszystkim proza, w jej zaś obrębie — powieści polityczne. W prezentowanym w nich ujęciu polityka stanowiła zawsze w prostej linii funkcję historii, a przejawiała się w sposób niezwykle konkretny i niemal codzienny: poprzez rozmaite wahania i rozterki ludzkie. Kontynuatores owej postaci jest narrator najnowszej powieści Putramenta — niezbyt jeszcze doświadczony w kontaktach międzynarodowych przewodniczący delegacji polskiej, uczestniczącej w pracach międzynarodowej komisji, jaka pod koniec lat czterdziestych badała skargę rządu greckiego skierowaną przeciw Albanii, Bułgarii i Jugosławii o militarną pomoc dla oddziałów Markosa. Prawie bezpośrednio po zawarciu akcji narrator ujawnia swe polityczne „credo”: „Dla mnie polityka — to sprawa naturalna, codzienna, sama przez się zrozumiała. Całkowicie zgodna ze zdrowym rozsądkiem, nigdy zaś nie sprowadzająca się do manifestowania swego stanowiska”. W wyznaniu owym pokutują wszakże przedwonne liberalno-inteligenckie doświadczenia narratora, do których wraca on niezbyt może chętnie, ale bez odwrotności do nich nie byłby w stanie zrozumieć dynamiki następujących po wojnie w Europie prze-

mian. Odmienne pojmując politykę Adam Hubert — polski pracownik Organizacji Narodów Zjednoczonych, powołany przez sekretarza tejsze organizacji dla „zrównoważenia” w składzie komisji Norweża Larsa Lunda. Otóż jest on zwolennikiem zasady „wszystko albo nic”, przy tym zaś znawcą oraz animatorem politycznych mechanizmów. Obie te postawy dopełniają się, ale i konfrontują zarazem, z czego wynika — wstępnie niejako — czym jest wielka międzynarodowa polityka. Wstępnie, powiadam, bo właściwa przecież konfrontacja dokonuje się między konkretnymi wydarzeniami (wraz z całym ich uwarunkowaniem społeczno-politycznym), a regulami gry politycznej. W tym aspekcie „Akropol” odbiega nieco od wcześniejszych ambitnych zamierzeń pisarskich Putramenta, uwienczeniem których miało być wyznaczenie praw decydujących o politycznej świadomości szerszych grup społecznych. Niemniej jednak jest to powieść par excellence polityczna w sensie stopniowego odsłaniania rozmaitych mechanizmów politycznej rozgrywki końca lat czterdziestych, która nie bez przyczyny przeciwnie skojarzyła się przedstawicielowi Francji, panu Daux, z prawdziwym „mlynem”: owe niekonczące się obrady w hotelu „Akropol” w Atenach, uzupełnione, rzecz

prosta, wielkim wachlarzem kulturalnych spotkań i zupełnie prywatnych kontaktów, wykorzystywanych sprytnie do przyspieszania politycznych rozstrzygnięć. Rozstrzygnięć nielających do przeprowadzenia w sytuacji dość stabilnej równowagi sympatii i interesów poszczególnych delegacji.

W krótkim słowie od autorskim Putramenta napisał, iż oświadczył znał „tych ludzi” — bohaterów „Akropolu”. Przypomniał w ten sposób, że jest nie tylko doświadczonym pisarzem, ale również rutynowanym politykiem. Stąd bierze się zapewne owa łatwość odsłaniania techniki pracy międzynarodowej komisji. Krytycy literacy dość zgodnym chórem zwrócili uwagę na ten moment powieści, w którym szef delegacji radzieckiej, Ławryszczew, chcąc z uzasadnionych taktycznie względów nie dopuścić do głosu politycznych przeciwników przeciagła swe przemówienie, mówi i mówi, aż nadchodził czas kolacji i upragniona przerwa. Scen takich jest zresztą więcej, choć ta z pewnością należy do najbardziej wyrazistych. Rozwój wątków politycznych „Akropolu” można nazwać — w sposób nieco uproszczone — polityczną edukacją narratora, połączoną z nieuniknioną ewolucją w stronę postawy Adama Huberta. Wyraźny przełom następuje nagle, podczas przemówienia:

— Wysoka Komisjo! — zacząłem i nagle zrozumiałem wszystko. Po prostu były dwie tezy: jedna — interwencja sąsiadów Grecji, druga — wojna domowa w Grecji. Jeśli pozwolimy Grecji na wygłaszanie dowodów swojej tezy, to damy jej teże szalone światowy rozgłos. Bo w Atenach nie będziemy wieczni, Grecy

chcieliby czas ten wykorzystać na swoje oskarżenie. A sąsiedzi będą replikować w jakichś tam Salonikach, skąd do światowej opinii trafi piąte przez dziesiąte.

Ale rozumiałem też, że w ten sposób przemawiać nie można, że ten strategiczny plan jednej i drugiej strony winien być schowany w wacie słownej, nie wydziałem jeszcze, co mam powiedzieć, a już mówiłem, już sam słyzałem siebie...”

Powieściowa relacja o pracach komisji zostaje w pewnej chwili wsparta wątkiem tragicznym dziejów jednego z więźniów, Joannidesa vel Waltadorosa, byłego komisarza politycznego jednej z dywizji Markosa. Wątek ten rozrósł się — może nawet wbrew początkowym zamierzeniom autora — i stanowi niemal utwór w utworze. Ale są to najlepsze chyba karty powieści. Tragedia greckich komunistów, zawarta w symbolicznych poniekąd dziejach Waltadorosa, ukazana została niezwykle przejmująco i ostro kontrastując z polityczną grą przy okrągłym stole.

Nazwanie „Akropolu” powieścią li tylko polityczną nie byłoby jednak adekwatne, jest to bowiem książka również sensacyjna, wyposażona dodatkowo w interesujące sceny erotyczne. Udało się to połączenie, choć nieregularna trochę kompozycja urobienia może lekturę mniej wyrobionemu czytelnikowi. Tak więc Jerzy Putrament utrzymuje dobrą formę pisarską, dochowując zarazem wierności największej chyba pasji swego życia — polityce.

J. Putrament, Akropol, Czytelnik, Warszawa 1975, nakład 20 290, cena zł 35.—

NIE TYLKO HISTORIA

JEAN JAURES

Postać i dzieło Jean Jauresa, jednego z najwybitniejszych działaczy i ideologów europejskiego ruchu socjalistycznego na przełomie XIX i XX stulecia, jest wciąż przedmiotem żywego zainteresowania. Niemal od chwili tragicznej śmierci, od morderczej kuli w przedmiotu wybuchu i wojny światowej, ten się zwłaszcza we Francji spór o „dzieciwo” tego tak niegdyś popularnego przywódcę, spór w którym ideowy spadek po J. Jauresie starają się podjąć i zandaplować najróżniejsze, nieaz bardzo odległe od socjalizmu siły społeczne i polityczne. Nie jest przecież przypadkiem, że współcześnie ów wybitny przywódca francuskiego ruchu socjalistycznego bywa niekiedy przedstawiany — jak pisze o tym polska badaczka, Janina Wojnar-Sujecka — „jako współtwórca burżuazyjnej republiki francuskiej, ideolog obrony narodowej, a nawet prekursor de Gaulle’a, jak na to wskazuje V. Aurioł, czy też jako bezpośredni poprzednik „nowego socjalizmu” Mendes — France’a”!

„Zjawisko sporów wokół spuścizny Jauresowskiej jest przykładem szerszego i powtarzalnego w historii faktu, którego źródła są wielostronne. Jednym z nich jest dążenie do zawiadnięcia tradycją wybitnych przywódców mas po ich śmierci przez byłych przeciwników, by neutralizować oddziaływanie ich spuścizny i opór zwolenników wobec tych uśloowań. Na takie przykłady w odniesieniu do „rewolucyjnych wodzów” wskazywał Lenin. W przypadku Jauresa problem interpretacji komplikuje się: mimo, iż był on, „jednym z najwybitniejszych przedstawicieli francuskiego i międzynarodowego socjalizmu” i postacią niezwykle popularną wśród robotników i chłopów francuskich, trudno go jednoznacznie określić jako rewolucjonistę”.

Powyższą ocenę przytoczyłem z wydanej ostatnio (PWN 1976), ważkiej pod względem intelektualnym, zawierającej książki J. Wojnar-Sujeckiej „Myśli, działania, rzeczywistość. Studium o światopoglądzie Jean Jauresa”, pierwszej w naszej nauce większej rozprawie, poświęconej myśli francuskiego socjalisty. Właśnie myśli, bowiem nie chodzi tu o książkę o jego życiu i działalności, ale o dzieło, stawiające sobie na celu zrekonstruowanie jakże złożonego świata ogólnych pojęć J. Jauresa, zinterpretowanie „całościowej koncepcji światopoglądowej, na która składa się — wiza wartości, człowieka, świata i ludzkiej historii, a więc myśli, działania i rzeczywistości”.

Osobliwie, jako czytelnika tej książki, interesują mnie przede wszystkim historycznoloziczne koncepcje J. Jauresa, który był przeciwnie także i wybitnym w swoim czasie historykiem. W zaprzetywaniach na mechanikę procesu dziejowego rozwinął on swoista koncepcję „ewolucji rewolucyjnej”, która niejednokrotnie interpretowana zgła oparciu. Francuski myśliciel i działacz przeciwstawiał się mianowicie pewnemu typowi myślenia, bardzo rozpowszechnionemu w jego czasach w środowiskach lewicowych, który można by określić mianem historycznego ekonomizmu, niejednokrotnie i niesłusznie utożsamianego z marksizmem. Inna rzecz, że w tej perspektywie miał J. Jaures zdefiniowany pogląd na marksistowską koncepcję dziejów w ogóle, choć jego argumenty w walce z ekonomistycznym poglądem na proces dziejowy mogłyby odegrać rolę w polemice właśnie z... deformowaniem marksizmu. J. Wojnar-Sujecka odnalazła wśród wypowiedzi J. Jauresa interesujące zdanie, w którym stwierdził on, że „głębia historii” nie polega na „zewnącznym rozwoju form politycznych”, że „to z pewnością gra sił ekonomicznych, sił społecznych determinuje ruch historii i nadaje jej sens”, które stawałoby francuskiego myśliciela blisko zwolenników materialistycznego pojmowania dziejów w sensie marksowskim. Zwróciła wreszcie uwagę na inne zdanie, w którym J. Jaures przyznawał wprost, że „metoda materializmu historycznego, gdy nie kompromituje się jej przez prawdziwą dziecinadę w stylu Lafargue u nas, czy Mehringa u was, jest wspalanym przewodnikiem”. Wiadomo skądinąd, że obaj przytoczeni przez francuskiego autora teoretycy, w swej interpretacji marksowskiej koncepcji procesu dziejowego skłaniali się do jednostronnego ekonomizmu, kładąc znacznie silniejszy akcent na zagadnienia obiektywizmu praw dziejowych, immanentnie sterujących procesem historycznym, niż na twórczą aktywność człowieka, zmieniającego świat, chociaż nie całkiem dowolnie. Był J. Jaures myślicielem szczególnie wrażliwym na humanistyczny sens historii, a chociaż od marksizmu różniło go niejedno — szerzej o tym powiada J. Wojnar-Sujecka — wiele jego spostrzeżeń miało znaczną wartość intelektualną i wciąż jeszcze może stanowić bodźce dla własnej refleksji, nad bynajmniej nie minionymi zagadnieniami.

Rozumiem, że w horyzoncie problemowym tej ambitnej pracy nie mogły się zmieścić inne zagadnienia, które niechybnie zainteresowałyby polskiego czytelnika. Nie czynię, rzecz zrozumiała, zarzutu J. Wojnar-Sujeckiej, że nie dotknęła np. takiej sprawy, jak stosunek jej bohatera do Polski i Polaków: byłoby to zbyt dalekie odstąpienie od tematu. A może jednak wcale nie tak duże? Wypadnie mi zająć się tym samemu, a to w związku z pewnym znalazłkami źródłowymi, które kiedyś udało się poznać. Istnieje np. niepublikowany, a ciekawy list Władysława Mickiewicza do Jauresa o... socjalistycznych przekonaniach Adama, sprostowany wspomnieniem przez francuskiego socjalistę wielkiego polskiego poety w jednym z przemówień... Na pewno należy go opublikować, na co kiedyś przyjdzie czas. Tymczasem kontynuujemy lekturę tej niebanalnej książki, którą zawdzięczamy J. Wojnar-Sujeckiej.

LEKTOR

REPORTAŻ

JAN BAŹBIŃSKI

GNIAZDO PTAKA NIE WYŻYWI...



Foto: W. Parys

— Masz odchyłki — powiedział Suchow — Proszę, rzucić okiem na ten szkic.

Solarski miał sprzągnięty twarz. Co za lichy. Trzeba poprawiać, inaczej nie da rady. Stupy pod dalsze dwa piętra muszą być ustawione co do milimetra. To jest to sedno problemu i na nie się w tym wypadku nie zdążyć słomowemu wywijasy. Nadszedł Marcin, dopiero co po studiach, ma się wciągać. Przejrzał szkic, rzucił okiem na zeissowski teodolit. Trudno, Suchow wie lepiej, mowy nie ma, żeby Suchow przymknął oko i zezwolił na jakakolwiek odchyłkę od pionu. Już lepiej o tym zapomnijmy.

Zbigniew Suchow to geodeta. Feliks Solarski to mistrz budowlany.

To oni stawiają na zapleczu Piotrkowskiej najwyższy w Łodzi budynek. Co ciekawe tym budynkiem nie będzie hotel ani biurowiec, zwykłe gmachy o takim przeznaczeniu wiek XX stawia najokazalej, tylko będzie nim dom mieszkalny. W najwyższym punkcie wzniesie się do wysokości 24 pięter. Nigdzie na całej swej 150 metrowej długości nie zejście niż 18 piętra. Kilkudziesięciopiętrowy dom ze stalowej konstrukcji może się nieco od pionu wychylić. Jest z natury elastyczny. Wysokościowiec z betonu nawet drgnąć nie powinien. Zmontowany z gotowych płyt, nie może odejść od pionu nawet o centymetr.

Więc geodeta jest okiem i rozporządza władzą. Te sita są milimetrów średnicy. Fuzerka się nie przecięnie. Mistrz, wiadomo, dogląda dwóch бригад zbrojarzy, czterech бригад ciesielskich, czterech бригад montażystów i jeszcze dogląda murarzy. Inżynier jak to inżynier, na jego głowie plan i dostawy. Na jego głowie koordynacja. Inżynier lata, manewruje, żeby nie wpaść na rafa, bo tego nie ma i tamtego, a najgorsze, że betonu nie przywieźli.

Nowe „city” wyrastające między Piotrkowską i Sienkiewicza, Główną i Wigury przyciąga uwagę łodzian od lat. Tak właśnie, od długich dość lat. Ostatecznie to już w 1971 r. wydrążono wykop pod ten najdłuższy i najwyższy gmach w mieście. Potem zawieszono to na kółku. Gdzieś tam ktoś czegoś nie dopatrzył. Po iluś tam miesiącach wykop zapelnili się cementem. I znów to stanęło. Znow żółt się tego uwiesił. Nad wykopem pochylał smutną głowę ogromny dźwig budowlany i trwał w tej przedziwnej pozie i w całkowitym milczeniu przez kilka dobrych sezonów budowlanych. Stanowił rodzaj symbolu. Miał przedchodniom udowodnić, że przy czymś tam gdzieś trzeba już przetrzeć samemu. Sztampa jest tania. Oryginalność kosztuje. Jeden tylko potężny blok śródmiejskiej dzielnicy wyłożył do podpisu rachunek na 150 ml zł. Płacić i płacić, sam tego chciał.

Wreszcie ruszyła niewielka wytwórnia odpowiedzialnych płyt osłonowych o termoizolacyjnych właściwościach. No i drgnęło. Poszło w górę. Wsparło się na słupach żelbetonowych, na ryglach się to oparło i betonowych płytach.

Ani się kto obejrzał i ponad morzem niskich ubiegłowiecznych kamieniczek zamajaczył kołos. To jeszcze nie drapacz chmur, lecz na pewno wysokiściowiec tej nazwy godzien. Zamajaczył i gna wyżej. Pędzi w górę uskokami. Przy Wigury zatrzyma się na 18 kondygnacji, przy Główniej wystrzeli do 24 pięter. Będzie inny. Nie będzie miał wspólnego z teofilowymi strychulcem. Już teraz wyskakuje niczym piramida ponad kamieniczkami dawnej dwupiętrowej Łodzi zbitej w kwadraty, posiekanej ulicami krzyżującymi się jak w Chicago zawsze pod kątem prostym.

Pierwsi lokatorzy wprowadzić się mają do tego mieszkalnego kołosa w połowie przyszłego roku.

Co z dalszymi blokami? No właśnie, to ma być przecież cała dzielnica harmonijnie wkomponowana w to stare śródmieście. Czy dwa następne kołosy, jeden przy Główniej, drugi przy Sienkiewicza dołączają istotnie w sposób dla oka miły i z punktu widzenia sztuki architektonicznej wzorowy do bloku pierwszego, schowanego za „Adasim”? Co do „Adasia” to bardziej dopuszcza się jego istnienie niż się ten fakt aprobuje. Pomyłka? Oczywiście, że pomyłka. Powiedziałbym gruba. Pomyłka w planowaniu i pomyłka w wykonaniu. Na te wysokościowców tej nowszej daty pokraczny „Adas” raczej będzie coraz bardziej. W ogóle zastania widok. To zawiadanie. Cóż, dawne błędy w przestrzennym spojrzeniu na miasto mszczą się po dziś dzień. I mścić się będą jeszcze długo.

Łodzianie patrzy i dumają. Tak z ręką na sercu Łódź dobrej architektury nie miała nigdy. Tak szczerze i otwarcie nigdy nie miała ani też nie ma godnych uwagi zabytków. Domki tkackie? Ratusz przy Placu Wolności? Dajmy już lepiej temu spokój. Tylko ktoś ślaby na umyśle mógłby uznać ten prowincjonalny ratuszek za architektoniczne cacko. Pewnie, że na bezrybiu i rak rybą. Pewnie, że z braku bardziej stylowych budowli nowi Dworzec Fabryczny próbowano ongiś wciągnąć na siłę w poczet wielkiej klasy obiektów zabytkowych. Starezy spojrzeć na dworzec i mimowoli wzrusza się ramionami. Dzieło sztuki? Ejże, a gdzie tu wzruszenie? Gdzie owo drgnięcie, które odzywa się w ludzkiej duszy na widok wdzięku, harmonii, rzeczowego piękna i sztuki?

Prawdopodobnie najcenniejszym zabytkiem tego miasta jest fabryczne miasto Scheiblera.

Scheiblerówka jest zabytkiem. Jest czymś — w całości przeniesionym z połowy ubiegłego wieku w schyłkowe lata wieku dwudziestego. W tych czerwonych murach z dobrze wypalonej cegły jest coś z faryzajzmu, coś z fabrykanckiej pychy i arogancji. Być może, Scheibler zapadł na kompleks Medyceuszów. Jest możliwe, że pragnął pozostawić po sobie ślad trwały i niezatarty. W pewnej mierze to mu się udało. Te scheiblerowskie gmachy mają w sobie coś groźnego. Bije z nich monumentalizm. To autentyczny i długi też smat historii o narodzinach przemysłu na tych ziemiach. Jak długo stoi „Księży Młyn”, to czasy nigdy w pamięci tego miasta nie zwiędzieją. Scheiblerowskie miasto jest perłą dawnego budownictwa fabrycznego. Jego wartość będzie z biegiem lat tylko wzrastać.

Jaka więc będzie ta nowa łódzka city?

Czy przysporzy miastu chwały? Czy wzbogaci jego architekturę? Bloki mieszkalne Teofilowa czego jak czego, ale artystycznych wzruszeń nie dostarczą na pewno. Będą jednak sprawiedliwi. Wszędzie się tak buduje. Wszędzie na ołtarzu mieszkaniowych potrzeb złożono w ofierze budowniczy szturm. Tak jest wszędzie. Od Moskwy po Madryt, od Kopenhagi po Palermo. Wszędzie miejskie budownictwo ześliznęło się na szerokie wody nieprawdopodobnej monotonii o wybitnie sztampowym charakterze. Betonowe miasta stały się faktem. Z punktu widzenia sztuki architektonicznej są to miasta marne. Bez końca od nowa powielane. Nawet Brasilia, nowa stolica Brazylii, wybudowana kosztem wielu miliardów dolarów ze stali, betonu, szkła i aluminium w nikim entuzjazmie nie wzbudza. To miasto jest sztuczne, choć jest dziełem najwybitniejszych umysłów architektonicznych tego półwiecza. Jest zimne i odpychające. Jest księżycowe.

Czyżby nie w Łodzi nie było uwagi godnego? Nie przesadzajmy. A stylowe secesje przy Piotrkowskiej, a te poroziemszcane w niewielkich ogródkach przyjemne dla oka pałacyki, pozamieniane na żłobki i przedszkola. A te pod każdym względem udane kamienice wybudowane przy Narutowicza, alejach Kościuszki, Zielonej... w latach trzydziestych. Śliczne są to budynki. O zwartej bryle, wyłożone świetłokrystalicznym płaskowcem, o szerokich wspaniałych klatkach schodowych. Wewnątrz marmur i granit, wewnątrz masywny i nikiel. A jaka solidność w robocie. Jaka trwałość. Łódź ma wiele takich budynków. Wszystkie wyszły z wojny nie uszkodzone. Są jednym z licznych na to dowodów, że polska szkoła architektoniczna wybiła się w przedwojennych latach do europejskiej wyżyn.

Domy są po to, żeby w nich mieszkać, nie po to, żeby je oglądać. Zgoda, ale... Nawet najładniejsze gniazdo, ptaka nie wyżywi. Wpierw fabryki, mój panie, przynajmniej równocześnie fabryki. Zgoda, ale... Otóż to, wciąż się szuka ideału, idealnych zaś rozwiązań nigdy nie ma. Zawsze trzeba iść z czymś lub z kimś na kompromis. Bo jakże to, uganianie się za marmurami, rzucanie się na brzozy i mosiądze, gdy kilkanaście tysięcy łódzkich małżeństw czeka od lat na gniazdko małe ale własne?

Jaka będzie ta nowa city?

Na razie patrzy się na kołosa za „Adasim” jak przez szybę. Na razie niczego ocenić się nie da. Z przodu, z boku, z tyłu i w samym też środku przyszłej dzielnicy mieszkaniowej stoją splekane czynszówki. Stoją też fabryczne hale „Prochnika”. To jest ta łódzka specyfika. Żeby budować nowe, trzeba w pierwej burzyć stare, często nader jare i krzepkie, bo stoi na drodze i zawadza. To skomplikowane ze wszech miar operacja na żywym organizmie milionowej aglomeracji. Dopiero jak się wyburzy to wszystko co blokuje i zastania dopiero wówczas mieszkaniowe kołosa 24 piętrowej wysokości odsonia swoje ja i pokażą czym są naprawdę.

Żelbetowe słupy i płyty osłonowe dowiezione na budowę z dalekich wytwórni powoli się przeżywiają. Budowlana technika też rwie do przodu. Jeszcze wczoraj składanka z prefabrykatów stanowiła szczyt technicznego wtajemniczenia. Dziś zalutuje myszka. Przy tym trzecim kołosie, co wyrasta od strony Sienkiewicza, wprowadza się system „acrow”. To w tym kraju całkowita nowość. Na tym nowym systemie zasada, że szalunek, więc forma w którą wlewa się cement jest z piętrowo podnoszony dźwigiem. Tak to wygląda jakby kto wysuwał z biurka szalufkę i przestawiał ją wciąż wyżej i wyżej. I tak piętro po piętrze idzie w górę wciąż ten sam szalunek o dowolnym oczywiście kształcie. Niczego się już nie montuje. Gmach jest monolitem. Jest na miejscu odlewany z cementu, jak dziecko odlewa na plaży babkę z nadmorskiego piasku.

Zbigniew Suchow to geodeta, Feliks Solarski to mistrz budowlany, Janusz Marcinak to inżynier. Jeden z trzech inżynierów na tej budowie. Szefem jest przecież Bogan Tatkiewicz, zastępca Marcina Kaszyczka, dopiero ten trzeci szczebel zajmuje Marcinak. Najciekawsze, że wszyscy oni nie przekroczyli jeszcze trzydziestki. Są młodzi. Niepokojąco nawet młodzi. A jednak to oni budują najwyższe i najefektowniejsze gmachy tego miasta. Młodzi są na ogół skłonni wierzyć, że gdyby im to berło wpadło do ręki, wszystko by się wtedy potoczyło lepiej. Już tacy są, że patrzą na świat okiem raczej krytycznym.

Oni by to zrobili lepiej? Czy aby na pewno? Zależą co jak i gdzie. Młodzi na budowie nowego centrum Łodzi jeśli nie robią tego lepiej, to z całą pewnością nie robią gorzej. Jeszcze dwa lata. Za dwa lata sami już oceniemy, co z tego wyszło naprawdę. A kroi się dla Łodzi rzecz pod każdym względem unikalną. Gdyby miastu skrzydła jeszcze przypiąć! Ale o lotnisku coś głucho. Jakby kto zaczerpał. Do Słupska można już samolotem. I do Rzeszowa można. Widocznie Łódź leży dla ministerialnego szczebla nie na tej trasie.

FILM

PROFITY SKROMNOŚCI

Leon Jeannot należy do grona najstarszych polskich reżyserów. Wspominam ten fakt, gdyż dzieło polskiego kina nie odwołują uczestnictwa grupy niosorów. Wario więc może przypomnieć, że Leon Jeannot rozpoczął pracę w kinematografii w roku 1930. Przed wojną zrealizował około 15 filmów krótkometrażowych. W latach 1939—1941 przebywał w ZSRR, był reżyserem dubbingu. Debiutem fabularnym w Polsce był film „Kryptonim Nektar” z roku 1953. Później zrealizował film „Bumerang” i w 1969 roku film cieszący się ogromnym powodzeniem u publiczności — komedie „Człowiek z M-3”, w którym to filmie ostatnią swą dużą rolę zagrał Bogumił Kobiel. Odnajdujemy jeszcze prace Leona Jeannot dla TVP, aby móc anonsować jego najnowszy film pt. „Zawilosci uczuć”.

Przypomniane tu filmy są dowodem, iż Jeannot uprawia w naszej kinematografii ten nurt filmów, dla których zwykło się używać określenia — klasa B. Określenie to nie posiada w zasadzie cechy wartościującej, sygnalizuje odbiorcy jedynie charakter uprawianej działalności. Są to filmy, które w założeniu swym nie dochodzą progu tzw. wysokich ambicji artystycznych, nie są dziełami artystycznymi, stanowią nurt kina komercyjnego, rozrywkowego. Nie znaczy to, że filmy klasy B są z natury swej produktami niższej marki. Wręcz przeciwnie, zwłaszcza kinematografie zachodnie dostarczają „tam dowodów na to, że filmy tego nurtu odznaczają się znakomitą warsztatem realizatorskim. Ostatnie zaś lata, zwłaszcza kina amerykańskiego, dokonały swoistej nobilitacji wspomnianej grupy filmów. W ramy niczym nie naruszonych konwencji poszczególnych gatunków wpisuje się treści i znaczenia dawniej w nich nieobecne. Atakuje się nimi widza, który po prostu przyszedł obejrzeć western, film sensacyjny czy komedie. Przy okazji, być może, zostanie skłoniony do głębszej refleksji niżeli do tej, którą przywykł do oglądania tych filmów wynosić.

Filmy klasy B są, jak dotąd, wyjątkowo słabą stroną polskiego powojennego kina. Wszystkim naszym twórcom marzą się widać laury wielkiej sztuki, w ramach której działają. I tak naprawdę w historii naszego kina mamy jednego reżysera, który honor owego nurtu filmu B ratował. Był nim Leonard Buczowski, autor „Zakazanych piosenek”, „Skarbu”, „Orla”, „Przerwanego lotu”, „Marysi i Napoleona” oraz wielu innych filmów, które wdziedziczyły publiczność z ogromną satysfakcją wspomina. Następców Leonarda Buczowskiego nie widać. Tych kilka uwag i przypomnień sprostował zaś najnowszy film Leona Jeannot, wspomniane „Zawilosci uczuć” i fakt, że reżyser ten ze swymi pracami sytuuje się w jakimś sensie w nurcie omawianych wy-

żej filmów. „Zawilosci uczuć” są filmem skromnym, nie pozbawionym wad, które łatwo wskazać, jednakże owa programowa niejako skromność jest jego bezspornym atutem.

Leon Jeannot postanowił przedstawić nam historię niemierną, sentymentalną, i wypełnioną szlachetnym dydaktyzmem. Taki jest właśnie jego film o dziewczynie — pielęgniarce, którą kochający ją chłopak nazwie pół żartem — pół serio: Judyńmowa. Dziewczyna bowiem, można by tu użyć nawet cytowanego cudzysłowu, wyrzeka się szczęścia osobistego w imię tzw. racji wyższych. Czy przedstawiona w filmie opowieść przekonyuje o słuszności tej decyzji — nie, raczej nie. Trudno mieć jednak o to pretensje, wielki autor pierwowzoru dziewczyny — pana Tomasza Judyńmowa, też nas o tym nie przekonał. Toutes proportions gardées, można by jednak rzec, że skromny film Leona Jeannota pielęgnuje podobne wartości moralne. Bohateria filmu „Zawilosci uczuć” kieruje się również wewnętrznym nakazem moralnym, którego nie wyjaśnia sam obiektywizm sytuacji. Ponieważ zaś dwójka młodych bohaterów filmu odbarowana została większością cech współczesnej młodzieży, reżyser dopowiada jeszcze i te, któreśmy zwykli, może zbyt pochopnie, z portretu tego wyznaczać. Mowa jest zatem o odpowiedzialności, wrażliwości i delikatności uczuć młodych ludzi.

To, co w filmie Leona Jeannota może się podobać, to jego bezpretensjonalność i sposób prezentacji młodych bohaterów, którym nieznani z ekranów Ewa Lejczak, a zwłaszcza Jerzy Brzacki przydają wiele ciepła i naturalności. Młodzi aktorzy, w towarzyskim wspaniałego Tadeusza Kondrata przedstawiają nam dzieje uczuć może w zbyt sentymentalnej oprawie podanych, ale z tej ich sfery, którą rzadko w kinie naszym oglądamy.

Dzięki Leonowi Jeannotowi mamy też okazję obejrzeć miasto wielkiej urody, które nie było chyba jeszcze nigdy na ekranie pokazywane. Często mówi się o tym, że twórcy nasi nie umieją wygrać urody naszych miast, często urody pełniającej funkcje znaczeniowe. To udało się Jeannotowi. Przemysł w jego filmie jest nie tylko bardzo piękny, obrazy tego miasta i jego okolic mówią coś o życiu prowincji, prowincji, w której o kompleksach się nie mówi. Co więcej, kontrapunkty w filmie tym wykorzystane, a więc wycieczka bohaterów do Warszawy, czy wyjazd do pracy na Śląsk każą o Przemysłu myśleć jako o prowincji, na której pięknie żyć można. Zostawiający na boku krytyczne uwagi, chwalebny dziś film „Zawilosci uczuć” za to, że programowa jego skromność znalazła swą faktyczną realizację.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

POETYCKI REBUS

Ostatnia premiera telewizyjnego teatru przypominała jednego z najdziwniejszych pisarzy polskich tego stulecia. Zagadkowa twórczość Jerzego Szaniawskiego nie została do tej pory możliwie w pełni zinterpretowana, krytyka na dobrą sprawę autora „Ptaka” ciągle jeszcze nie zdolała do końca „rozgrzyźć”. Nie ma zgody w kwestiach podstawowych: czy jego teatr jest spuścizną po modernizmie czy też jest wyrazem tendencji awangardowych, czy Szaniawski jest symbolista czy też symbolizm parodiuje, tradycjonalista czy prekursor, sentymentalny romantyk czy ironiczny racjonalista?

„Ptak” jedna z wczesniejszych sztuk Szaniawskiego jest utworem wielce typowym dla świata pisarza. Dramat ten jest oparty na kompozycyjnym i światopoglądowym schemacie, który przenika całą twórczość Szaniawskiego. Akt I jest jakby wyjęty z komedii bulwarowej wykpiwającej środowisko prowincjonalnych notabli: którzy tworzą radę miejską z burmistrzem na czele. Jest to towarzystwo doskonale znane choćby z „Klubu profesora Tutki”, z siedzibą w mieszczańskim obyczajach i mentalności. Ta parada safandulowatych staruszków odmownie rozstrzygających każdą propozycję zmiany w swoim konserwatywnym świecie przypomina teatrzyk kukielki, których gesty i zachowanie ulegają uproszczeniu i konwencjonalizacji. Ale wymiary tego teatrzyku są szersze. Marionetki Szaniawskiego stoją na straży mieszczańskiego „układu rzeczy”, ich przyjętej hierarchii i ustalonego ładu społecznego. Szaniawski dokonuje jednak charakterystycznej wloty dramatycznej: w ten zalety światek wsacza tajemnicę poezji, egzotyczną fantasmagorie, która zmienia senną atmosferę miasteczka, wywołując zbiorową tęsknotę do innego życia, odsoni uczucie niedosytu i bliżej nie określonych pragnień.

„Ptak” jest teatralną baśnią z właściwą baśniowemu konwencjom poetycko-symbolicznej rekwiwizjornia i przesłaniem. Jednocześnie jest to baśń bardzo przewrotna, albowiem posługując się stereotypem jednocześnie ujawnia jego stereotypowość i ośmiesza ją. Stąd problem czy „Ptak” jest sztuką symboliczną, czy też symbolizm i jego poetykę wydrwiwa i dyskredytuje. Utwór ten od początku budził interpretacyjne spory. Żywność po dziś dzień. Boy zastanawiając się nad znaczeniem tytułowego ptaka pisał: „Albo ja wiem? Może młodzież może poezja, może obie razem? Szablom myślenia użyj, że młodzież powinna nieść ze sobą rewolucję, ale co znaczy rewolucja? Znaczy rzucić z burmistrzowskiego stołka jednego piernika a posadzić drugiego, bo tak już Pan

Bóg przeznaczył, że na burmistrzowskim stołku musi siedzieć piernik po wieki wieków amen. Wmawiają tedy w biednego artystę hasła, rewolucje, a on nie chce nic innego, jak tylko puścić w powietrze het, wysoko, swego barwnego cudnego ptaka. I ten kolor, lot, ten oddech życia, to jest właśnie owa zdołbyć, która niesie ze sobą młodzież, która niesie poezja samym tylko faktem, że istnieje i to jest owa rewolucja, która wciąż odmładza wciąż krzepnącą skorupę świata”.

Szaniawskiego trudno odczytywać wprost i dostownie. Ironiczny dystans stylizacji sugeruje, że rzeczywisty sens jego dramaturgii jest skryty głębiej i stanowi rezultat wyrafinowanej gry pojęć i wyobrażeń. Szaniawski odczytany powierzchownie ułożył się w pewien kanon staroświeckiej nastrojowości, poetyckiej zwiewności, mglistej i wieloznacznej symboliki, który zyskał miano „szaniawszczyzny”. Tymczasem jest to pisarz, który starał się odkryć reguły rządzące społeczeństwem, w literackiej materii formułował prawa społecznej psychologii, definiował związki jednostki ze zbiorowością artysty ze społeczeństwem i badał społeczne funkcje sztuki. Za sferą sentymentalnych wzruszeń ukrywał się intelektualista bliski tradycjom woltaerskim, który swoje powiastki filozoficzne konstruował z elementów połączonych, tanich i banalnych. I tak jest w „Ptaku”. Autor wykorzystuje konwencjonalne postacie, banalne nastroiki, stereotypowe sytuacje i kiczowate rekwiwizyty, aby z tego utworzyć racjonalistyczny, głęboko antyromantyczny przekaz na temat iluzyjnej roli sztuki w życiu społecznym.

„Ptak” na telewizyjnym scenie wypadł dobrze, ale głównie dzięki aktorom. Reżyser bowiem jakby nie do końca wyczerpał intencje autora. Jego koncepcja inscenizacyjna „Ptaka” ukonkretniła, osadziła w naturalnej, choć zredukowanej do najprostszych elementów scenerii. Tymczasem „Ptak” jest bardziej papierowy, aniżeli realistyczny i wymaga zdecydowanej stylizacji, która powinna dotyczyć nie tylko aktorstwa i muzyki tak jak w tym spektaklu, ale również pozostałych elementów inscenizacji. Wyjście w plener wbrew pozorom „Ptaka” nie uskrzydliło, a jego jawna i nawet prowokacyjną poetyckość stłumiło, miast w pełni wywołać.

Szkoda tym większa, że istnieje przecież w telewizyjnym doświadczeniu poetyka teatralna, która do Szaniawskiego przylega idealnie, tym bardziej, że pisarzowi wiele zawdzięcza. Mowa oczywiście o nieodżałowanej pamięci „Kabaracie Starych Panów”.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

„UWAGA ZACHODZI PODEJRZENIE”

Spółdzielnia Mieszkaniowa „Ogniw” w nawiązaniu do felietonu pt. „Uwaga zachodzi podejrzenie” wyjaśnia:

1) w miesiącu lutym 1976 r. nastąpiła zamiana gazu miejskiego na ziemny w budynkach nr 121, 123, 125 przy ul. Lutomierskiej, oraz w budynku nr 17 przy ul. Obornickiej.

2) wymiana gazu w budynkach nr 121, 123 i 125 była uzgodniona z Zakładem Gazowniczym w Łodzi. Natomiast wymiana gazu w budynku nr 17 przy ul. Obornickiej nie była uzgodniona.

3) po zauważeniu przez mieszkańców w budynku nr 17 przy ul. Obornickiej zmian w eksploatacji kucharek gazowych (wysoki płomień) Punkt Administracji Spółdzielni podał do wiadomości lokatorów notatkę o ostrożnym korzystaniu z gazu do czasu wyjaśnienia sprawy, na blokach nr nr 17, 8 i 15 przy ul. Obornickiej, występują jednocześnie do Zakładu Gazowniczego o wyjaśnienie sprawy.

4) Zakład Gazowniczy w Łodzi odpowiedział Spółdzielni pismem z dnia 28 lutego 1976 r. (otrzymanie 5 marca 1976 r.) potwierdzając wymianę gazu miejskiego na ziemny w bloku nr 17 przy ul. Obornickiej i informując o niedokonanym wymiany gazu w blokach przy ul. Obornickiej nr 8 i 15.

5) W bloku nr 17 przy ul. Obornickiej po interwencji Spółdzielni Zakład Gazowniczy wymienił natychmiast odpowiednie dysze i sprawa została załatwiona.

6) Punkt Administracyjny na Osiedlu Zubardz nie anulował w miesiącu marca ogłoszenia w budynkach, tym niemniej całość sprawy była znana samorządowi mieszkańców.

7) Aktualnie Spółdzielnia w budynku nr 8 i 15 wystosuje informacje kończące całą sprawę dla uspokojenia formalnego lokatorów —

Bogdan Dąbrowski
(przewodniczący Zarządu)



Szanowna Redakcjo!

Jako stały czytelnik wielu gazet wiem doskonale, że chwale nie jest dziś w modzie. Zławsza, gdy taka laudacja ukazuje się drukiem. W kręgu moich bliskich znajomych pochwała prasowa nazywana jest pogardliwie „laurka” nawet wówczas, gdy dotyczy doniosłych dokonań i stanowi skromny wyraz uznania dla czyjegoś wysiłku. Pamiętając o tym wybieram wyjście pośrednie: chwalać jednych, ganić będąc drugich i przez to mój list, chociaż nikogo nie zadowolę, zostanie przynajmniej przeczytany. Przedłużę w ten sposób jego żywot, zanim zostanie ciśnięty do redakcyjnego kosza, do czego, niestety, przywykłem.

Otóż chcę zganić całą bez wyjątków prasę łódzką za niedostateczne spularyzowanie Muzeum Historii Miasta. Cóż z tego, że w kronice dnia ukazują się lakoniczne, jednozdaniowe wzmianki o organizowanych w pałacu na Ogrodowej imprezach, gdy wciąż jeszcze nikt nie postarał się o pełniejsze przedstawienie tej młodej, a tak już zasłużonej placówki. Jest to Muzeum, które właściwie dopiero powstaje i nie posiada jeszcze stałej ekspozycji, a przecież rozwinęło już szeroką i pożyteczną działalność. Mam na myśli liczne wystawy i odczyty, druki i publikacje związane z przeszłością naszego miasta. To jako tożsamość musi mnie cieszyć. Ale z drugiej strony czuję się niespokojny. Czy rzeczywiście wszyscy miłośnicy naszego miasta wiedzą o istnieniu Muzeum na Ogrodowej? Bo przecież jest bardzo prawdopodobne, że na skutek niewiedzy właściciele całej szereg bezcennych eksponatów spoczywa gdzieś na strychach, w kufrach czy komodach zamiast znaleźć się w Muzeum. Jako łodzianina boli mnie, że tak mało w istocie robimy, żeby sprawy naszego miasta stały się rzeczywistością bliskie wszystkim mieszkańcom. Czy to nie paradoks, że nie dorobiliśmy się na tyle dobrej piosenki o Łodzi, aby podchwyciła ją i śpiewała cała Polska. Kiedy się pomyśli ile naprawdę wartościowych piosenek poświęcono Warszawie mój pesymizm wydaje mi się uzasadniony.

Wiem, że mieszać tu małe z wielkim, ważne i nieważne, ale czas już chyba zająć się sprawą „patriotyzmu lokalnego” na serio. To miasto, mam na myśli Łódź, zasłużyło sobie na miłość i szacunek. Dobrze, że powstała instytucja, która z urzędu czuwać będzie nad ochroną tego wszystkiego, co w przeszłości Łodzi było wzniosłe, albo dramatyczne, co wzbogaciło narodową kulturę, choć oczywiście miłości do miasta nie można zaprogramować dekretem. Wolno jednak wymagać od prasy, aby tak ważną placówkę jak Muzeum Historii Miasta przybliżyła wszystkim czytelnikom.

Józef Malinowski (Łódź)

ITY MOŻESZ ZOSTAĆ WĘDKARZEM...

Z dyrektorem Zarządu Okręgowego Polskiego Związku Wędkarskiego — TADEUSZEM PASTERNAKIEM rozmawia Lucjusz Włodkowski.



— Czym jest wędkarstwo? — pytam Tadeusza Pasternaka.

— Jest formą wypoczynku. Ale nie tylko. Jest to sposób spędzania wolnego czasu, który sprzyja poznawaniu regionu czy kraju.

— Niektórzy twierdzą, że wędkarstwo jest sportem.

— I mają rację. W Polskim Związku Wędkarskim można uprawiać dwie dyscypliny: wędkarstwo gruntowe i wędkarstwo rzutowe. Organizuje się zawody wędkarskie na złowienie ryb, które w danym okresie nie są objęte ochroną i przepisami dotyczącymi wymiarów ryb, jakie wolno łowić.

— A wędkarstwo rzutowe?

— Polega to na rzuceniu wędki do tarcz Arenberga i skłiszu. W tej dyscyplinie też organizowane są zawody. Uprawianie wędkarstwa rzutowego wymaga odpowiedniego sprzętu wędkarskiego, boiska, na którym można trenować i rozgrywać zawody.

— Czy w Łodzi istnieją zespoły zajmujące się wędkarstwem rzutowym?

— Są dwa takie koła. Najżywoniejszym jest koło nr 52 przy ŁZPB im. Obrońców Pokoju „Unioctex”, które prowadzi Leon Maksim. Współpracuje ono ze szkołami, a członkowie tego koła, zarówno dorośli jak i młodzi, mężczyźni i kobiety, wchodzi w skład kadry okręgu i biorą udział w zawodach wędkarskich. Zawodnicy tego koła osiągają po 230 punktów, podczas gdy średnia krajowa wynosi 160-170 punktów. Magda Minich z koła nr 52 jest członkiem kadry narodowej.

— A gdzie łódzcy wędkarze łowią ryby, bo jak wiadomo w pobliżu Łodzi albo wody jest mało, albo są to rzeki zamienione na ścieki.

— Przedzie wszystkim na Zalewie Sulejowskim. Zbiornik ten ma 2 400 ha i przez ostatnie 5 lat wpuszczono tam do wody przeszło 43 tony narybku.

Do wody Zalewu Sulejowskiego wpuszczono m. in. troć, amura, szczupaka, karpia, leszcza. Jeszcze przed budową Zalewu Sulejowskiego silnie zarybiliśmy 5 rzeczek wpadających do Pilicy, których wody miały utworzyć zbiornik. W ten sposób zapewniliśmy zarybienie Zalewu Sulejowskiego.

— Czy tylko Zalew Sulejowski się liczy dla wędkarzy?

— Łódzcy wędkarze najczęściej wędrują nad wody województwa konińskiego i nad Wisłę. W rachubę wchodzi jeszcze Warta, ale nie we wszystkich rejonach.

— Około 33 procent rzek dawnego województwa łódzkiego jest praktycznie zamienione w ścieki przemysłowe i komunalne. A w naszym okręgu wędkarskim nie ma nadmiaru wody. Jeśli w kraju na jednego wędkarza przypada 0,62 ha wody zdanej do połowu ryb, to w naszym okręgu — 0,32 ha.

Niektóre koła wędkarskie dają do zwiększenia obszaru wody zdanej do łowienia. Na przykład koło w Leżnicy Wielkiej wybudowało zbiornik o powierzchni 14 ha wody. Podobnie koło w Zgierzu otrzymało 24 ha powierzchni wody. Zarząd Okręgu PZW wykupił 17 stawów, z tego 7 stawów przeznaczono dla hodowli narybku. A 10 stawów przeznaczono dla wędkowania. Jest to bardzo wygodne dla tych łódzkich wędkarzy, którzy nie mają własnych samochodów i nie mogą daleko jeździć na ryby. Z tych łowisk korzystają przede wszystkim ludzie starsi wiekiem.

Bardzo prężne koło w Wieluniu, kierowane przez Stanisława Rybczyńskiego, wybudowało tamę długości 91 metrów, która o 2 metry podniosła poziom Warty na długości 3,5 km. Koło to buduje drugą tamę w Przywole.

Podobne wyniki osiągnęło koło w Pajęcznie, które obecnie należy już do Zarządu Okręgu PZW w Częstochowie, ale które prace inwestycyjne rozpoczęło jeszcze w czasach, kiedy należało do naszego okręgu. A także koło w Kolumnie, w Konstanczynie i inne.

Jak z tego widać wędkarze nie tylko łowią ryby, ale też troszczą się o to, aby było co łowić.

— Jakie ryby łowi się przede wszystkim?

— Łowi się szczupaki, leszcze, płocie, okonie, karpie...

— A jakie rekordy zanotowali wędkarze?

— Ostatni rekord należy do Stanisława Błaszczyka, który złowił 13,5-kilogramowego amura.

— Powiedział Pan, że wędkarze też troszczą się o to, aby było co łowić.

— Tak. Prowadzimy bowiem intensywną akcję zarybiania rzek i zamkniętych zbiorników wodnych. W ubiegłym roku powinnismy byli wpuścić do wód znajdujących się w naszym okręgu 19,9 tony ryb albo — licząc w sztukach — 1 790 tys. narybku. W istocie wpuściliśmy 38,5 tony i tym samym przekroczyliśmy plan zarybiania o 92 procent.

— Jakie ryby zostały wpuszczone do rzek i zbiorników?

— Przedzie wszystkim wpuściliśmy duże ilości karpia, później leszcza i lina. Wpuściliśmy też spore ilości szczupaka, ale tej ryby ciągle jest mało. Wpuściliśmy też węgorka, cęte, trocica i białego amura. Ta ostatnia ryba znajduje się pod ochroną.

Jedną trzecią narybku wpuściliśmy do Zalewu Sulejowskiego, około 23 procent poszło do Warty i jej dopływów. W niedalekiej przyszłości ma powstać wielki zbiornik wodny na Warcie koło Jeziorska i musimy już powoli przygotowywać się do zarybiania tego zbiornika.

— Z tego widać, że jest co łowić. A kto łowi, czyli ilu jest wędkarzy w łódzkim okręgu?

— Do 1 stycznia 1976 roku było około 30 tys. wędkarzy, zrzeszonych w 78 kołach. Po reorganizacji — czyli 2 stycznia — pozostało w naszym okręgu 26 tys. wędkarzy, którzy działają w 62 kołach. Nasz okręg obejmuje województwa: łódzkie miejskie, piotrkowskie i sieradzkie.

W 4 miesiącach bieżącego roku powstało 6 nowych kół, a więc jest ich teraz 68. Chcemy do końca roku osiągnąć liczbę 28 tys. członków PZW.

— Jak zostać wędkarzem? Domyślam się, że najpierw trzeba kupić sobie wędkę...

— Nie. Najpierw trzeba mieć zainteresowanie wędkarstwem. Trzeba mieć to, co nazywamy zamiłowaniem do wędkowania, albo „żyłką wędkarską”...

— ... i nie mylić jej z żyłką do wędki...

— Potem trzeba zapoznać się z regulaminem połowu ryb, ze statutem PZW. Później kandydat na wędkarza musi odpowiedzieć przed komisją na 5 pytań, dotyczących zachowania się nad wodą, okresów, w których wolno łowić poszczególne gatunki ryb, jakie wymiary muszą mieć ryby, aby wolno je łowić. Kandydat na wędkarza musi po prostu znać swoje obowiązki i prawa.

— Jakich ryb nie można łowić w maju i czerwcu?

— W „Regulaminie sportowego połowu ryb” jest kalendarzyk i każdy wędkarz, jeśli nawet nie jest pewny, czy zapomniał, jakie ryby znajdują się pod ochroną w danym okresie, może sobie to sprawdzić.

Do końca maja na przykład nie wolno łowić głowiaczy, lipienia, pstrąga tęczęowego. Certy na przykład w Wiśle i Odrze nie wolno łowić do końca maja, a w innych rzekach — do końca czerwca.

W „Regulaminie” są też podane wymiary ochronne ryb. Płocie i wzdręgi można łowić powyżej 15 cm, pstrągi, leszcze, liny, klenie — powyżej 25 cm, karpia, lipienia i cęte — powyżej 30 cm, szczupaki — powyżej 40 cm węgorka, sumy, łososie, trocie — powyżej 50 cm, a głowiacę — powyżej 60 cm.

— Skoro już to wszystko się wie, to teraz można biec i kupić wędkę.

— Radziłbym przedtem wykupić

jednak odpowiedni dokument, „kartę wędkarską”, łowienie bez której może marazić na poważne przykrości.

— A ile kosztuje taka karta?

— 210 zł. Młodzież i renciści mają odpowiednio niższą.

— Kto jest kłusownikiem?

— Nie tylko ten, kto łowi bez karty. Kłusownikiem może być też członek PZW, który nie przestrzega przepisów. Kłusownikami są ci, którzy łowią przy pomocy sieci, podrywek, a nawet widał, którzy masowo łowią ryby w czasie tarła, kiedy ryba trze się na płytkiej wodzie. Kłusownictwem nazwałbym też masowe niszczenie ryb przez niektóre zakłady przemysłowe i spółdzielcze.

— W jaki sposób prowadzi się walkę z kłusownictwem?

— Nad ochroną wód czuwa specjalna straż etatowa. Ale wspomaga ich straż honorowa, to znaczy ci wędkarze, którzy wyrażają na to zgodę i którzy upoważnieni są specjalnym dokumentem do kontrolowania tego, co dzieje się nad wodą. Wydaliśmy 941 zezwoleń, podpisanych przez poszczególnych wojewodów, które upoważniają wędkarzy do wspomagania straży ochrony wód.

— Jakie są wyniki takiego działania?

— W ubiegłym roku przeprowadzono 2 322 kontrole i w wyniku tego sporządzono 79 doniesień na kłusowników, w 128 przypadkach stwierdzono, że członkowie PZW nie przestrzegali regulaminu, odebrano kłusownikom 19 sztuk sieci i podrywek oraz 165 sztuk sprzętu wędkarskiego. W sumie stwierdzono 507 przypadków przestępstwa i z tego do kolegium karno-administracyjnego skierowano 79, do sądów organizacyjnych PZW — 419, a 9 spraw umorzono.

— Dlaczego?

— Dlaczego umorzono? Albo ze względu na znikomą szkodliwość przestępstwa, albo najczęściej z tego powodu, że wędkarz łowił ryby bez karty i został zobowiązany do jej dostarczenia w ciągu 7 dni. Dostarczył i — jak to się mówi — nie było sprawy.

— Mówiliśmy już o tym, gdzie łowić, co łowić. Teraz może porozmawiamy o tym, czym łowić?

— Jeśli chodzi o sprzęt bardzo prosty, podstawowy, to z tym nie ma większych trudności. Występują natomiast poważne braki sprzętu wyższej klasy. Brakuje wysokiej jakości wędzisk teleskopowych, z włókien szklanych, brakuje dobrej jakości kołowrotków, gdyż rynek otrzymuje niewielkie ilości tego rodzaju sprzętu. Według oceny biegłych zaopatrzenie rynku w wysokiej jakości sprzęt wędkarski pokrywa zapotrzebowanie zaledwie w 20 procentach. Mamy natomiast dobrą żyłkę do wędek produkcji gorzowskiego „Stilonu”. Nie mamy dobrych haczyków.

Sytuacja ta ulegnie częściowej zmianie, gdyż już w niedługim czasie będziemy produkowali w kraju wędziska teleskopowe oraz kołowrotki na licencji z NRD. Ale w moim przekonaniu nie rozwiąże to jeszcze do końca problemu sprzętu wędkarskiego.

— Polski Związek Wędkarski obok wielu pozytywnych działań troszczy się też o ochronę czystości wód. Jak ta sprawa wygląda w łódzkim okręgu?

— Zarząd Okręgu PZW w Łodzi dzierżawi wody o powierzchni 1 672 ha. W naszym rejonie notorycznie zatruca wód występują w 12 miejscach. Szczególnie na Burze, Grabi, Luciąży. Zatrucia występujące na Luciąży szczególnie nas niepokoją, gdyż wody tej rzeki wypadają do Zalewu Sulejowskiego. Ostatnio znów w Luciąży zmarnowało się około 10 ton ryb, głównie szczupaka i certy wracających z tarła.

A poza tym zatrucia występują w Widawce, Piechnie, w niektórych miejscach Pilicy i Warty, w Pysznym, Oleśnicy, Rawce i Lupiu.

— Na Warcie, w którym miejscu? — Między Częstochową a Radomskiem.

— Z czyjej winy?

— Z winy Częstochowy, chociaż samo miasto ma bardzo dobrze urządzone i sprawnie działające oczyszczalnie ścieków, to wody zatruwają częstochowskie zakłady przemysłowe, a szczególnie huta.

— Swego czasu pisaliśmy w „Odgłosach” o zatruciu Widawki. Jak ta sprawa wygląda obecnie?

— Śledztwo zostało przez prokuraturę w Piotrkowie Trybunalskim umorzono. Jednak na podstawie działalności biegłych prokuratury i PZW uprawdopodobniono, że sprawcą zatrucia życia biologicznego w Widawce były Zakłady Przemysłu Barwników „Wola” w Woli Krzysztoporskiej. Wnieśliśmy sprawę do komisji arbitrażowej i zakłady skłonne są całą sprawę załatwić polubownie i zapłacić odszkodowanie.

— Ile?

— Szacujemy straty na sumę 512 tys. zł. W ubiegłym roku zakłady, które trują wody zapłaciły na rzecz PZW 679 tys. zł. Ale nas to wcale nie cieszy.

— Te pieniądze nie wrócą ryb i nie odwrózą życia biologicznego w rzekach.

— Niestety.

— A jak długo martwą będzie Widawka?

— Jeszcze przez dwa lata będzie rzeką bez życia biologicznego.

U PRZYJACIÓŁ

ZSRR

● Znany pisarz Konstanty Simonow i reżyser Dymitr Czukowski zrealizowali film „Aleksander Twardowski” poświęcony wielkiemu poecie radzieckiemu (1910-71). W filmie tym, niedawno emitowanym w telewizji ZSRR, utwory A. Twardowskiego recytuje Michaił Uljanow. Realizatorzy wykorzystali również zapisy głosu poety czytającego fragmenty poematu „Za dałą — dał”.

● Za jedno z najciekawszych tegorocznych wydarzeń literackich w ZSRR uznano powieść Olesia Honczara „Brzeg miłości”. Podobnie jak w innych moich utworach — mówi o swojej książce O. Honczar — bohaterem jest współczesny człowiek. Jego samozaparcie w pracy, poczucie społecznej więzi i sprawiedliwości, bogactwo myśli godne przeniesienia na karty literatury... W książce tej wysunąłem na plan pierwszy zagadnienia etyki, kwestie odporności psychicznej człowieka w trudnych sytuacjach życiowych, samotności i przyjaźni, kształtowanie się nowych norm społecznego współżycia.

● Nowy program przedstawił niedawno publiczności Moskwy zespół „Bieriozka”. W ciągu 28 lat istnienia zespołu „Bieriozka” występowała już w 59 krajach wszędzie wywołując podziw dla kunsztu artystów i piękna układów choreograficznych. Nowy program „Bieriozki” pisze recenzent „Izwestii” — jeszcze raz potwierdził wysoki poziom zespołu, będący zasługą nowych poszukiwań twórczych, efektem harmonijnej współpracy kierownika i choreografa N. Nadieżdiny z kompozytorem W. Tiemnowem i kostiumologiem L. Siličezem.

● Znana pisarka Marietta Szagrian otrzymała tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej przyznany jej za zasługi w rozwoju radzieckiej literatury, wieloletnią twórczość i pracę społeczną. Urodzona w 1888 r. debiutowała w 1903 jako dziennikarka i poetka. Do historii literatury radzieckiej weszła jako autorka „Zapory wodnej”, powieści obrazującej przemiany w socjalistycznej Armenii. Rezultatem jej wielu podróży po kraju są liczne zbiory reportaży i szkiców. Dużą popularność zdobyły sobie jej utwory biograficzne, których bohaterami są Szewczenko, Krylow, Nizami i Goethe. Najwybitniejszymi osiągnięciami pisarki są powieści-kroniki związane z postacią Lenina „Rodzina Uljanowych” i „Pierwsza Ogniorosyjska” wyróżniona w 1972 roku Nagrodą Leninowską. Pisarka jest również tłumaczką ormańskich i azerskojęzycznych poezji oraz członkiem Akademii Nauk Armenii.

NRD

● W NRD zakończył się doroczny Tydzień Książki. Z wieloletniej imprezy połowa odbyła się w zakładach pracy. W samym tylko Berlinie urządzono 160 spotkań w fabrykach, bibliotekach i szkołach. Na spotkaniu w zakładach im. Artura Beckera w Lauecie wydawcy z Lipska przedstawili wielkie przedsięwzięcie firmy „Dietz-Verlag” — wydanie dzieł zebranych Marksa i Engelsa. Praca ta rozłożona na wiele lat obejmuje kilkadziesiąt tomów. W zakładach w Neubrandenburgu odbyło się spotkanie autorów, ilustratorów i współpracowników wydawnictwa książek dla dzieci. Wśród imprez „Tygodnia Książki” były także programy literacko-muzyczne poświęcone Becherowi i Bredlowi. W Centralnej Bibliotece Niemieckiej Klaszki została otwarta wystawa ilustracji i wydawnictw literatury klasycznej NRD i z zagranicy.

● Wytwórnia „Defa” realizuje film biograficzny o Ludwiku van Beethovenie pt. „Kompozytor”. Utwór przedstawia życie genialnego artysty w latach 1813-19 kiedy Beethoven był już człowiekiem sławnym, a jednocześnie głęboko osamotnionym i nieszczęśliwym. Postać Beethovena odwarża litewski aktor Donat Banionis, który przed kilku laty odniósł wielki sukces w filmie „Goya”, nakręconym również w NRD przez reżysera Konrada Wolfa. Film „Kompozytor” reżyseruje Horst Seeman według scenariusza Guntera Kuntera.

CSRS

● W Bratysławie trwają prace nad wielkim „Słowackim słownikiem biograficznym”, liczącym prawie 20 tys. haseł. Wielotomowa edycja przygotowuje Słowacka Akademia Nauk wspólnie z różnymi instytucjami naukowymi i kulturalnymi Czechosłowacji oraz innych państw socjalistycznych. Edycja zakończona zostanie ok. 1990 roku.

Integracja w Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej wyraźnie zwolniła kroku. Nie odnotowano postępu w stworzeniu unii ekonomicznej i walutowej, wynikają nowe spory w dziedzinie problemów agrarnych, brak jedności między krajami „dziewiątki” w sprawach polityki międzynarodowej, plany rozwoju organów politycznych EWG odłożono na czas nieograniczony. Przyczyna: sprzeczność interesów między krajami członkowskimi EWG.

Pogłębienie ekonomicznego i walutowego kryzysu na wiosnę tego roku jeszcze bardziej zaostrzyło istniejące już sprzeczności między partnerami „dziewiątki”. Po raz pierwszy w historii EWG, tegoroczna kwietniowa sesja Rady Europejskiej z udziałem głów państw i rządów nie była w stanie sformułować jakiegokolwiek wspólnego komunikatu. Bez wyników zakończyła się także niedawna konferencja ministrów spraw zagranicznych krajów „dziewiątki”. Postępowa część społeczeństw krajów EWG uważa, iż wyjścia z tej sytuacji należy szukać w nawiązaniu szerokiej, ogólnoeuropejskiej i wzajemnie korzystnej współpracy z krajami całego kontynentu, bez względu na ich system społeczno-ekonomiczny.

Prasa zachodnia poświęca tym sprawom wiele miejsca i uwagi. Sądząc z liczby nieregulowanych problemów i bezczynności wygląda na to — pisze komentator londyńskiego tygodnika „The Economist” — że Europejska Wspólnota Gospodarcza znalazła się w zasnutej pajęczynie ślepej uliczki.

W kwietniu szefowie państw i rządów krajów Wspólnego Rynku przeprowadzili w Luksemburgu pierwszą w tym roku naradę na najwyższym szczeblu — sesję Rady Europejskiej — i nie osiągnęli porozumienia w żadnym z punktów porządku dziennego.

Francuzi chcieli zaproponować bardziej elastyczną koncepcję „węza” walutowego, czyli „plywającego” kursu walut krajów członkowskich EWG, ale zachodniemiecki kanclerz odrzucił tę propozycję telefonicznie jeszcze przed rozpoczęciem narady na szczycie. Anglicy wysunęli propozycję wypracowania polityki Wspólnego Rynku w sprawie bezrobocia, ale idea ta również została zdecydowanie odrzucona przez RFN. Niemcy Zachodnie i niektórzy inni partnerzy rzucili myśl bezwzględnego rozpatrzenia rezolucji belgijskiego premiera Leo Tindemansa w sprawie politycznej integracji EWG, ale spotkali się z uprzejmą lecz stanowczą odmową Anglików i Francuzów. Decyzję o rozdzieleniu między kraje członkowskie EWG

miejsc w bezpośrednich wyborach do tzw. europejskiego parlamentu odłożono w związku z nieoczekiwaną propozycją Francuzów przyjęcia nowego projektu, który wniósł jeszcze więcej zamętu do tej i tak już dostatecznie śliskiej sprawy.

Sprawa rozbiła się przede wszystkim o ilość posłów. Członkowie obecnego europejskiego parlamentu, zasiadającego regularnie w Strassburgu,

że przed samym głosowaniem premier Włoch, Moro, poprosił o „czas na przemyślenie” propozycji i odroczenie głosowania do rana następnego dnia. A nazajutrz tę propozycję odrzucił. W tej sytuacji postanowiono przekazać ją do rozpatrzenia ministrom spraw zagranicznych krajów członkowskich EWG. I sprawa ta, jak bumerang, powróciła na to samo miejsce, bowiem na poprzednim zebraniu ministrów spraw zagranicznych po-

Nawet polityka rolna, która nadal „zjada” dwie trzecie budżetu EWG, nie została rozpatrzona. Mimo silnego nacisku RFN i Wielkiej Brytanii po ostatniej turze rozmów poświęconych ustaleniu cen na produkty rolne, polityka ta jest w dalszym ciągu rozrzucona i nielogiczna.

Wspólnota nie osiągnęła postępu w opracowaniu uzgodnionego stanowiska wobec wydarzeń w świecie. Niemcy Zachodnie i Anglia próbowały uporządkować kwestię koordynacji polityki zagranicznej „dziewiątki”, jednakże Francuzi nie chcą im w tym pomagać.

W br. ministrowie, którzy decydują o problemach energetyki spotkali się zaledwie jeden raz i w dodatku nie doszli do porozumienia.

Zamierzenia w kierunku dalszego rozwoju instytucji „małej Europy”, które przedstawił belgijski premier Tindemans, zostały w Luksemburgu odłożone do archiwum. Ani Francuzi, ani Anglicy nie pragną wzmocnienia stałych organów EWG czy też wprowadzenia do rady ministrów EWG zasady podejmowania decyzji większością głosów (obecnie decyzje przyjmuje się tylko jednogłośnie). Stała komisja Wspólnego Rynku w Brukseli jest wyraźnie zdemoralizowana i wykazuje indolencję.

Czy istnieje jakaś szansa na osiągnięcie większej integracji w najbliższych latach? Jest ona wyjątkowo mizerna — twierdzą zachodni publicyści i obserwatorzy polityczni, z czego zresztą zdają sobie sprawę także przywódcy Wspólnoty. Nie nie przemawia za chęcią podniesienia zachodnioeuropejskiego „budownictwa” na wyższy poziom. We Francji, prezydenta Giscard d'Estaing otaczają jego sojusznicy z partii gaullistowskiej, wrogowie usposobieni do planów politycznej integracji. W Anglii, nowy rząd kierowany przez Jamesa Callaghana będzie zbyt zaabsorbowany problemami wewnętrznymi, żeby móc podjąć jakąkolwiek nową inicjatywę w Europie. We Włoszech, jeśli w wyniku wyborów dojdzie do władzy rząd z udziałem komunistów nie wystąpi on przeciwko EWG. Ale komuniści będą nalegać na bardziej jawną i bezpośrednią obronę narodowych interesów Włoch. Może to doprowadzić do ostrych utarczek szczególnie w dziedzinie polityki rolnej i budżetowej. Nawet w RFN, która w przeszłości z takim entuzjazmem walczyła o „europejski sojusz”, teraz już słabnie popieranie procesów integracyjnych.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych Europejska Wspólnota Gospodarcza nie posunie się do przodu. Oczywiście obecna stagnacja nie oznacza jej całkowitego rozpadu. Ani jeden z dziewięciu krajów nie zamierza na razie wyjść ze Wspólnoty. Niemniej, znane powiedzonko porównujące EWG do kolarza, który dla utrzymania równowagi na rowerze musi stale jechać, straciło swój sens.

JERZY CZECH

EWG

EUROPEJSKI SOJUSZ NA DALSZYM PLANIE

zaproponowali zwiększenie liczby jego członków z obecnych 198 do 355 osób, z podziałem ilości miejsc według dwupunktowej zasady: zachowania proporcjonalności przedstawicielstw (według liczby ludności kraju) oraz utrzymania przywilejów zdobytych już przez „małe” kraje w poprzednim parlamencie. Temu właśnie sprzeciwił się prezydent Francji Giscard d'Estaing, argumentując swój protest okolicznością, iż w takim układzie „małe” kraje miałyby większe wpływy niż zasługują na to ich waga ekonomiczna i polityczna. Zgodnie z uprzednio zaplanowanym projektem miało być 284 posłów, przy czym największą ilość miejsc otrzymywała RFN, podczas gdy liczba posłów, np. Luksemburga, zmniejszała się z 6 do 3. Ta jawna próba postawienia wielkich mocarstw w uprzywilejowanej pozycji sprowokowała pięć „małych” krajów do kontrofensywy. Zażądały one zwiększenia liczby posłów do 384 z równoczesnym zwiększeniem ich przedstawicielstw, co z kolei wywołało burzliwy protest „wielkich”.

Szefowie rządów o mały włos nie przyjęli kompromisowego rozstrzygnięcia sporu, kiedy Giscard d'Estaing przedstawił nieoczekiwaną nową propozycję: utrzymać obecny ilościowy skład parlamentu, pozwalając każdemu z krajów przeprowadzić bezpośrednie wybory na własnym podwórku i według własnego systemu. Propozycja okazała się do przyjęcia, jednak-

stanowiono przekazać ją do rozpatrzenia na konferencji szefów państw i rządów krajów „dziewiątki”...

Konferencja w Luksemburgu nie mogła mieć innego finału, ponieważ Europejska Wspólnota Gospodarcza, w rzeczywistości, nie jest w stanie rozstrzygnąć ani jednej podstawowej kwestii.

Nie widać najmniejszego postępu w stworzeniu ekonomicznego i walutowego sojuszu. Francuzi wycofali franka z „węza walutowego”, wkrótce, być może, dojdzie do od dawna, już nabrzmiewającej rewaluacji zachodniemieckiej marki. Sprzeczności między dziewięcioma krajami w takich wskaźnikach, jak wzrost produkcji, inflacja, bilans w handlu zagranicznym, są teraz o wiele bardziej wyczuwalne niż w latach sześćdziesiątych; pod tym względem EWG zrobiła „krok do przodu”...

Co więcej, wzrost handlu, stymulowany obniżeniem barier celnych, doszedł chyba do kresu. Wiele korzyści, które przyniosła z sobą specjalizacja produkcji okazało się zaledwie krótkotrwałymi wynikami stworzenia unii celnej. Nie ma prawie żadnych podstaw, by sądzić, iż w nadchodzących latach handel między krajami członkowskimi EWG będzie wzrastał szybciej niż handel każdego z nich z innymi krajami nie należącymi do Wspólnego Rynku.

MIARA POSTĘPU ZNÓW W WIEDNIU PARYŻ — WASZYNGTON

Ogrom przemian, jakie dokonały się w latach siedemdziesiątych na świecie, można mierzyć również pozycją w nim Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Nieodległy jest przecież czas, gdy to leżące w centrum Europy państwo nie miało na mapach, jakimi posługiwało się wiele kół politycznych Zachodu, granic państwowych. Po prostu nie chcieliśmy uznać, że istnieje demokratyczne, pokojowe państwo niemieckie. Jeśli ten fakt, już historyczny, zderzyć ze współczesnymi, że NRD jest równoprawnym członkiem ONZ i utrzymuje stosunki dyplomatyczne ze 121 państwami z różnych kontynentów — uzyska się właśnie skalę osiągniętego postępu. Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie potwierdziła w całej rozciągłości następstwa II wojny światowej — terytorialne i polityczne, a także stworzyła gwarancje ich nienaruszalności. Tak przeto walka wspólnoty socjalistycznej o zapewnienie NRD należnego jej miejsca wśród państw świata uświęconą została pełnym sukcesem.

Jest to jeden z dowodów, że skoordynowana polityka zagraniczna naszych krajów umożliwiła pomyślnie rozwiązywanie zadań, jak i umacnianie światowego systemu socjalistycznego.

Ta refleksja nasuwa się na tle obrad IX Zjazdu SED, postępu, jaki osiągnęli nasi niemieccy sąsiedzi w czasie od poprzedniego Zjazdu (— w 1971 roku). Podkreślił to w swym przemówieniu powitalnym Edward Gierek słowami:

„Dzisiaj Niemiecka Republika Demokratyczna jest mocnym ogniwem socjalistycznej wspólnoty. Wysokim uznaniem cieszą się jej wielkie osiągnięcia społeczno-ekonomiczne, naukowo-techniczne i kulturalne. Jej konsekwentnie pokojowa polityka. Jest państwem powszechnie uznanym i zajmującym równoprawne miejsce wśród wszystkich państw Europy i świata. Gratulujemy Wam serdecznie tego dziejowego dorobku”.

Ostatnie pięciolecie przyniosło szczególnie duży rozwój przyjaźelskiej współpracy między NRD i Polską. Nie ma dziedzin, w której kontakty w szerokim rozumieniu tego

słowa, nie rozwijałyby się z nową dynamiką.

Program, jaki wypracowany został na IX Zjeździe Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności, otwiera dalsze możliwości rozwoju NRD i jej współpracy z socjalistycznymi przyjaciółmi.

Wydarzeniem odnotowanym przez wszystkie chyba agencje było wznowienie w minionym tygodniu, po 6-tygodniowej przerwie, rokowań wiedeńskich na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej. Rozpoczęła się więc dziewiąta już runda dyskusji 19 państw. Niestety, minione nie przyniosły takiego postępu, który mógłby być odnotowany jako konkretny. Wciąż, mimo kompromisowych propozycji krajów socjalistycznych, omawianych na tym miejscu, sprawa rozbiła się przede wszystkim o to, że państwa zachodnie domagają się większych redukcji po stronie krajów Układu Warszawskiego. Jest tymczasem zrozumiałe, że niezachwianie równowagi wymaga procentowo jednakowego obniżenia zbrojeń. I takie właśnie stanowisko reprezentują kraje socjalistyczne.

Czy impas w obradach uda się przełamać w toku obecnej rundy rokowań?

Odpowiedź na to pytanie mogłaby być twierdząca, gdyby wszystkie uczestniczące w wiedeńskich rokowaniach kraje chciały szybko znaleźć rozwiązanie. Tymczasem w komentarzach zachodnich podkreśla się, że USA przed listopadowymi wyborami prezydenckimi nie będą rzekomo zdolne do podjęcia decyzji. W ślad za

tym przewiduje się, że lato i jesień nie przyniosą jeszcze oczekiwanych wyników. Takie podejście do ważkiej sprawy rozbrojenia musi budzić zastrzeżenia. Rozmowy są rzeczywiście trudne, ale tym bardziej dlatego nie powinno być w nich okresów „pułstych”. Im szybciej odprężenie polityczne uzupełnione zostanie militarnym — tym mniejsze pole do działania mieć będą rezerwy powrotu do zimnowojennych stosunków, którzy nie ustają w wysiłkach, aby sprowokować nową falę napięć.

W przeglądzie aktualności dajmy jeszcze miejsce zwycięzcy prezydenta Francji — Valerogo Giscard d'Estaing w Stanach Zjednoczonych.

Nie tylko dlatego, że jest to pierwsza wizyta obecnego prezydenta na ziemi amerykańskiej. Ważniejsze dla obserwatorów procesu normalizowania stosunków amerykańsko-francuskich, w przeszłości przecież nie najlepszych, było ustalenie, jakimi akcentami Francja podkreśli obecnie swą niezależność od USA. Stało się to przez akcentowanie partnerskich stosunków i zaprzeczenie możliwości powrotu Francji w jakikolwiek sposób do organizacji militarnej NATO.

W rezultacie waszyngtońskich rozmów można oczekiwać dalszej poprawy klimatu na linii Paryż — Waszyngton, ale w niczym ta poprawa nie naruszy samodzielności polityki francuskiej.

W. ŚLAWSKI

JAK BĘDZIE?

Podjąłem męską decyzję i postanowiłem stworzyć doraźnego „Gallupa”, aby zbadać opinie na temat pierwszej ligi piłkarskiej. Kierownictwo redakcji inicjatywę tę przyjęło bez większego entuzjazmu, ale ze zrozumieniem. — Rób co chcesz — powiedziano mi — ale na własne ryzyko. A więc robie.

Postanowiłem kilku ludziom zadać trzy pytania:
— Kto zostanie mistrzem piłkarskim w tym roku?
— Jakie drużyny spadną z pierwszej ligi?
— Które miejsce w ligowej tabeli zajmie drużyna RTS Widzew?

Pierwszy napotczył mi się Ryszard Binkowski („Odgłosy”), który z przejęciem opowiadał, jak to w Mielcu chcieli zamordować bramkarza „Widzewa” — Stanisława Burzyńskiego.

— Kto będzie mistrzem? — powtórzył pytanie pan Rysio. — Ten wredny Mielec! Spadną natomiast: Stal Rzeszów i Polonia Bytom. A nasz Widzew zajmie trzecie miejsce. I bardzo dobrze!

Skrętnie omijałem tych wszystkich, którzy do tej pory nie zdradzili się jako piłkarzy kibice. Na przykład Konrad Tucowski („Dziennik Popularny”). O Andrzeju Makowieckim („Odgłosy”) wiedziałem natomiast, że stara się nie opuścić żadnego z meczów piłkarskich i bardzo — tym wszystkim się wzrusza. A poza tym Andrzej Makowiecki przez dłuższy czas wozował po Europie, o czym będzie niedługo pisał w naszym tygodniku, miał więc świeże spostrzeżenia.

— Mistrzem będzie Stal Mielec — powiedział jednak bez wahania. — Spadną: Stal Rzeszów i Szombierki, a Widzew uplasuje się na szóstym miejscu.

Czas było sięgnąć po opinie specjalistów. Mieczysław Wójcicki („Głos Robotniczy”) okazał się jednak dla mojego „Gallupa” zupełnie nieosiągalny, gdyż był akurat w Mińsku. Natomiast Władysław Lachowicz („Głos Robotniczy”) płakał rzewnymi łzami, gdyż pojechał z Widzewem do Mielca, jako maskotka i wcale nie przyniósł im szczęścia. Piłkarze Widzewa twierdzą, że jak tylko jedzie z nimi na mecz Wojciech Filipiak („Głos Robotniczy”), to nieuchronnie muszą przegrać. A tym razem pojechał Lachowicz i też nie.

Po długich staraniach udało mi się uspokoić Władysława Lachowicza, wziął więc do ręki gazetę, w której była ligowa tabela, popatrzył i powiedział:

— To takie proste. Mistrzem — Stal Mielec, spadną — Stal Rzeszów i Polonia Bytom, a Widzew zajmie szóste miejsce.

— Dlaczego to jest proste?

— Ślask w rozgrywkach ligowych już się nie liczy, będzie grał z drużynami zagranicznymi, które zdobyły puchary. Amatorem na trzecie miejsce jest Wisła, a gra ona z Widzewem. Awansować też będzie chociaż Legia. A Widzewowi w końcówce zabrakło trochę oddechu.

Odgłosowy sportowiec Bogda Madej rzecz całą potraktował niepoważnie i oświadczyła, że ona ma swoje zdanie, ale nie widzi powodów, aby je zdradzać przed czasem. Długo musiałem ją przekonywać, że właśnie czas ten nadzedł. Wreszcie się zgodziła i powiedziała, że ona by chciała, aby mistrzem został GKS Tychy.

— Ale kto będzie?

— Niestety Stal Mielec — ciężko westchnęła.

— A jakie drużyny spadną?

— Stal Rzeszów i Polonia Bytom.

— Widzew?

— Zajmie piąte miejsce. Niestety!

Przysłuchujący się naszej rozmowie Widok („Odgłosy”), który ma na imię Jerzy, ale go nie używa, zdenerwował się wreszcie i zgłosił pretensję, że go nie pytam o zdanie. Więc zapytałem.

— Powinien spaść LKS a Widzew pójść w górę! Wysoko! Wielec nie powiem.

Jerzy Calusiński („Express Ilustrowany”) zgodny był ze swymi poprzednikami, których pytałem o zdanie, że mistrzem Polski zostanie drużyna Stali Mielec, a spadną: Stal Rzeszów i Polonia Bytom. Jego zdaniem Widzew zajmie piąte lub szóste miejsce. Ta drużyna miała szansę na wyższą lokatę, ale na początku sezonu grała zbyt ostrożnie, nie doceniła własnych możliwości i teraz zabrakło im sił na finisz.

— Bardzo bym chciał — powiedział Jerzy Calusiński — aby mistrzem Polski została Wisła, bo jest to najbardziej interesujący zespół. Bojeje, że spadnie drużyna Polonia Bytom. Był to kiedyś — w przeszłości — znakomity zespół. Jeśli chodzi o LKS, to jest tam ośmiu zawodników na poziomie pierwszej ligi, ale ciągle nie ma drużyny. Stworzyć taką drużynę, to będzie zadanie dla trenera w przyszłym sezonie.

Tak sądzą moi koledzy. Czy tak musi być? Nie podobnego. Jak nas ciągle poucza sprawozdawcy telewizyjni, w sporcie wszystko jeszcze może się zdarzyć. I mają rację. A więc zobaczymy, co jeszcze zdarzy się na pierwszoligowych boiskach i czy prognozy, które tu przedstawiłem sprawdzą się. Milej zabawy!

MARCIN RODAK

SUKCES CZY PRZEGRANA?

Już po wszystkim. Skończyły się codzienne emocje, kalkulacje kibiców, że może dziś uda się któremuś z naszych szaleńców ucieczka, skończyło się oglądanie XXIX Wyścigu Pokoju na telewizyjnym ekranie. Wyścig dotarł do Berlina. Ostatecznie wygrał Hans Joachim Hartniek. Stanisław Szozda był drugi. To wiemy już wszystkie. A komentarze?

Na mecie w Berlinie Stanisław Szozda powiedział, że inaczej wyglądałyby wyniki, gdyby nie toruńska kontuzja. Hans Joachim Hartniek nie odniósłby tak łatwego zwycięstwa, albo nie odniósłby go wcale. Ale to by było, gdyby... Na mecie w Berlinie było tak jak było. I to są fakty. Do nich się trzeba odnieść. Stanisław Szozda wykazał ogromny hart ducha, że w ogóle dojechał do Berlina. Mógł być się wycofać i nikt nie miałby do niego o to pretensji. Gdyby jednak zabrakło Stanisława Szozdy w polskim zespole, to w Berlinie nasi chłopcy nie staliby na podium. I to też fakt, bo wskazują na to miejsca reszty drużyny.

XXIX Wyścig Pokoju odbywał się w cieniu Olimpiady. Tak to już się dzieje z kolarskimi wyścigami, że bierze się w nich udział nie zawsze po to, aby odnieść zwycięstwo, ale często traktuje się je jako kolejne etapy w przygotowaniu do końcowego celu. Dla jednego może to być „Balkanada”, dla innych — któryś z zachodnioeuropejskich wyścigów, a dla wszystkich — Montreal. Z tego też powodu zabrakło na trasie Praga — Warszawa — Berlin kilku znakomitych kolarzy. To po trochu wpłynęło na charakter tegorocznego wyścigu. Uprościło walkę.

Był czas, gdy na trasie wyścigu „rozrabiano”, były samotne i brawurowe ucieczki, zacięta walka na finiszach. Przez cały czas coś się działo. Wysiłkowiaste się radiowych komunikatów, jak komunikatów z pola walki. A teraz: „cały peloton jedzie razem”. Już nieważne jest, kto zwycięży na mecie kolejnego etapu, a ważne jest, ile zarobi sekund. Dla ogólnego rachunku jest to niewątpliwie ważne, ale walka stała się monotonna, a kolarze z bobatów szos zamienili się w „ciulaczy sekund”. Rachmistrze na rowerach. Przecież H. J. Hartniek nie musiał wygrywać w Berlinie. Wyścig miał już wygrany, ale poniosła go ambicja. I to było ładne. Również w Berlinie Janusz Kowalski pokazał, że też jest kolarzem.

Już gdzieś od połowy wyścigu zaczęło się zastanawiać, czy nasza drużyna jedzie według błędnej faktyki, czy też jest niedostatecznie przygotowana? Ktoś utrzymywał nawet, że naszym kolarzom zabrakło jednego wyścigu górskiego, w którym udział przysięgowałyby ich do Wyścigu Pokoju. Co więc było? Trener Karol Madaj powiedział w Berlinie, że teraz przeanalizuje przyczyny i wypracuje wnioski. Szusnie, bo jak zdradził na to uwagę komentatorzy telewizyjni, w tym wyścigu liczył się jedynie Stanisław Szozda. Poza nim drużyny nie było. Był pomocny, ale nie było drużynowej walki. Nie było na przykład Karola Madaja, który w tabeli wyszczególnił tuż za Stanisławem Szozdą i asekurowałby go na wypadek tego, co zdarzyło się w Toruniu. Poza Januszem Kowalskim nikt nie próbował walczyć o etapowe zwycięstwo. Czy to nie był błąd?

I jeszcze jedna wątpliwość. Kolarze ZSRR od początku nastawili się na zwycięstwo drużynowe. Dlatego polskiego zespołu nie stać było na walkę zespołową. Trzecie miejsce nasz kolarze zajęli tylko dzięki temu, że rozspadł się zespół czechosłowacki. I to też o czymś mówi. A więc do zastanawiania się nad XXIX WP jest aż nadto wiele powodów.

Dla tych, którzy oglądali WP tylko w telewizji — inna uwaga. A mianowicie nierównowaga w sposobie przekazywania. Najgorzej oceniałabym telewizję NRD, nieco lepiej telewizję CSRS i bardzo dobrze — TVF. Czyż organizatorzy nie mogliby doprowadzić do spotkania również trzech bratnich telewizji, aby ustaliły jednaki sposób przekazywania przebiegu walki, aby skorzystały z najlepszych wzorów?

Z organizacją w tym roku nie było najlepiej. Na „zimowym etapie” zginęło dwóch kolarzy: Norweg i Włoch, bo ich dobrzy ludzie znaleźli w rowie i do szpitala do Rabki zawieźli. W rowie lądowali też inni kolarze, gdyż kostnieli z zima, jako że sędziowie zabronili im się ciepłej ubrać. Sędziowie w ogóle mieli pomysły. Na podetapie z Frankfurtu n/Odrą do Forst dopiero na trasie powiadomili kolarzy, że na mecie w Forst nie będzie sekundowych premii. A indagowany na gorąco przez radiowego reportera przedstawiciel kierownictwa XXIX Wyścigu — prezes i redaktor Władzimir Goleblewski wszystko zbagatelizował, aby następnego dnia — widąc po namiętności — uznać w prasie, że „to był błąd”. A wszystko to przez St. Szozdę, który walczył na mecie o premię, której nie było. Czyżby nie wiedział o tym, mimo, że Wl. Goleblewski pisze, że „kolarze polscy i inni zostali przez liczących motocyklowych poinformowani”, a tylko St. Szozda mimo tego „jak zwykle pojechał z temperamentem”. Oj, coś mi się nie chce wierzyć, bo Stanisław Szozda — jak zresztą też to pisze sam Wl. Goleblewski — każdy taki wysiłek przyplacał ogromnym bólem.

Było, minęło. Teraz tylko właściwe wnioski wyciągnąć z tego. I aby nam się lepiej powiedziało w Montrealu.

BOGDA MADEJ

NASZ ŚWIAT

Z początkiem XX wieku w badaniach zjawisk metapsychicznych zarysowała się zasadnicza zmiana w sposobie podejścia do nich. Przede wszystkim mniej analizowano przypadki opisywane przez postronnych obserwatorów, starając się raczej podejmować próby weryfikacji już znanych faktów w warunkach laboratoryjnych. Pierwsze tego typu doświadczenia z dziedziny parapsychologii przeprowadził w 1917 roku John Coover z Uniwersytetu im. Stanforda w Kalifornii, zaś w dwa lata później jego śladem podążył dr H. Brugmans z Uniwersytetu w Groningen w Holandii.

W 1926 roku dr George H. Estabrooks, wybitny specjalista w dziedzinie hipnoz zapoczątkował na Uniwersytecie Harvard grupowe badania percepcji pozazmysłowej. Podobne eksperymenty parapsychologiczne stały się w owym czasie dość powszechne w wielu krajach, m. in. również w Polsce. Znana była przecież u nas postać inżyniera Stefana Ossowieckiego, którego nazywano polskim jasnowidzem. Jeszcze w czasie studiów w Instytucie Inżynierów w Petersburgu, w latach 1894—1897, gdzie sposób egzaminowania polegał na losowaniu pytań umieszczonych w zamkniętych kopertach, Ossowiecki urządził sobie zabawę i ku zdumieniu profesorów odpowiadał na pytania bez otwierania koperty. Wszystkie odpowiedzi okazywały się być przy tym całkowicie zgodne z treścią pytań. W tym okresie ujawnił się również u Ossowieckiego zdolności psychokinetyczne. Kazał się on podobno przywiązywać do krzesła lub wniechęcać w płóciennym worku. Tak niezuchomyemu potrafił dzięki ogromnej koncentracji umysłu, przesuwać przedmioty, rzucać je o ziemię bądź przenosić z jed-

mogłoby się kształcić. W dużej mierze przy ocenie zjawisk polegano na indywidualnym osądzie, często bardzo subiektywnym, a przez to pozbawionym wartości badawczej. W tej sytuacji za najpiękniejsze zadanie uznano opracowanie skutecznych metod wykrywania i ewaluacji zjawisk metapsychicznych, zaś najbardziej przydatną pod tym względem okazała się analiza statystyczna. Chodziło bowiem o wymierne wyniki, które nie były dziełem zwykłego przypadku, ale rezultatem licznych testów. Dzięki temu miano nadzieję wykryć występujące w nich elementy parapsychiczne.

W tym miejscu wypada wspomnieć o działalności dra Josepha i Louise Rhine'ów, którzy są uważani za pionierów na polu naukowych badań nad parapsychicą. Pracując na Uniwersytecie im. Duke'a w Durham (Północna Karolina) Rhine'owie mogli korzystać z współpracy psychologów i matematyków, a także studentów, którzy chętnie poddawali się eksperymentom. Efektem tych prac stała się monografia o tematyce parapsychicznej „New Frontier of the Mind” (Nowe horyzonty świadomości) wydana w

BOHDAN FELT

HORYZONTY ŚWIADOMOŚCI

1937 roku, która z miejsca stała się bestsellerem. Świat naukowy ustosunkował się jednak do niej z rezerwą. Wynikało to przede wszystkim z prostego faktu, że ludzie, którzy całe życie pracowali w jakiejś dziedzinie i uzyskali dzięki temu pewien autorytet, na ogół odnoszą się bardzo niechętnie do wszelkich odkryć podważających przyjęte przez nich zasady. A w wypadku parapsychologii, ponieważ zjawiska „psi” są niezależne od czasu, przestrzeni, energii fizycznej i zmysłów, urągają więc wszelkim dotychczasowym koncepcjom. Pozycja Rhine'ów była jednak o tyle silna, że nikt nie mógł zakwestionować ich wyjątkowej inteligencji i rzetelności naukowej.

Joseph Rhine był przecież profesorem uniwersytetu, swego czasu współpracował z wybitnym psychologiem, Williamem McDougalem, jego metody statystyczne zostały zaakceptowane przez matematyków, a poza tym miał doktorat z fizjologii roślin. Toteż mimo wrzawy, jaką wywołały prowadzone przez niego prace naukowe, były one kontynuowane przynosząc ich autorowi znaczny rozgłos nie tylko w USA.

Już po przejściu na emeryturę, w 1965 roku, Rhine nadal czynnie zajmował się parapsychologią. Założył w Durham Fundację dla Badań nad Naturą Ludzką oraz Instytut Parapsychologii. Celem tych instytucji było umożliwienie badaczom zjawisk „psi” na świecie, studiowanie interesujących ich problemów, a także wymiana poglądów, gdyż co trzy lata odbywały się pod patronatem Fundacji kongresy parapsychologiczne. Dotacje na utrzymanie tych instytucji pochodzą przede wszystkim od osób prywatnych. Do najbardziej hojnych ofiarodawców należą Chester Carlson — wynalazca kserografu, Clement W. Stone — założyciel wielkiej firmy ubezpieczeniowej Combined Insurance Company oraz Alfred P. Sloan — były prezes zarządu koncernu General Motors.

W ostatnich latach poważne badania naukowe nad tą dziedziną prowadzi się w szeregu znanych ośrodków uniwersyteckich USA, Szwecji, Wielkiej Brytanii, Francji, Japonii, Niemiec, Holandii, w Indiach, Argentynie, a także innych krajach. Nowe metody badawcze przyczyniają się do szybszego postępu w rozwoju parapsychologii.

Innowacją o przełomowym znaczeniu stanowiło np. zbudowanie serii specjalnych aparatów do przeprowadzenia testów. Głównym elementem takiego aparatu jest generator, w którym promieniotwórczy pierwiastek stront 90 dostarcza nieskończenie wiele przypadkowych „celów”. Ponieważ rozpad radioaktywny jest najbardziej przypadkowym procesem zachodzącym w przyrodzie, toteż dzięki zastosowaniu tego aparatu rozwiązano dość poważny problem, jakim było zapewnienie całkowitej przypadkowości testów, bez konieczności posługiwania się tabelami i wykonywania skomplikowanych obliczeń. Po raz pierwszy użyto go do przeprowadzenia testów z dzie-

dziny zdolności przewidywania przyszłości. W górnej części aparatu umieszczono cztery różnokolorowe lampy błyskowe, którym odpowiadały cztery przyciski. Osoba poddawana eksperymentowi naciskała przycisk obok lampy, która według niej powinna się zapalić. W momencie naciśnięcia guzika otwierała się bramka i kolejny elektron strontu 90 został zarejestrowany na liczniku Geigera. Elektron ten, emitowany w sposób zapewniający przypadkowość w ciągu 1 sekundy od chwili otwarcia się bramki, zatrzymywał obracający się wewnątrz skrzynek przelącznik w jednym z czterech miejsc, co decydowało o tym, która z czterech lamp zabłyśnie. Jak z tego widać wybór lampy był bezspornie dziełem przypadku, który następował już po dokonaniu przeprowadzenia przez osobę poddawaną eksperymentowi. Cały proces trwał zaledwie kilka sekund.

Autor tego pomysłu, dr Helmut Schmidt, dyrektor Instytutu Parapsychologii w Durham wykorzystwał następnie ten sam generator do badania zjawisk metapsychicznych innego rodzaju. Dzięki temu, że test jest całkowicie automatyzowany, eksperymentator może skoncentrować się w pełni na psychice osoby badanej. W rezultacie nie tylko skracza się w ten sposób czas potrzebny na przeprowadzenie doświadczenia, upraszcza procedurę i umożliwia testy grupowe, ale również wyklucza się skutecznie możliwość dokonywania jakichkolwiek oszustw. Wyniki, jakie otrzymuje się w efekcie, są dokładne, kompletne i nadają się do analizy komputerowej.

Przy pomocy innych metod prowadził z kolei badania nad spostrzeganiem pozazmysłowym dr Montague Ullman z Nowego Jorku. Wykorzystując przypuszczenia wyrażone przez Freuda, iż przekazy telepatyczne, odbierane przez podświadomość, ulegają zniekształceniu przez świadomość, Ullman badał wpływ telepatii na świadomość człowieka śniącego. Osoby poddawane tym eksperymentom były umieszczane na czas snu w oddzielnych pomieszczeniach, zaś na głowach miały umocowane elektrody elektroencefalografu, które dokonywały rejestracji faktu, że śpiący śnił. Przewodzący doświadczenia przebywał w tym czasie w osobnym pomieszczeniu i koncentrował się na jakimś przedmiocie, np. na obrazie, usiłując przekazać swoje wrażenia śpiącemu.

W czasie dwóch doświadczeń tego rodzaju posłużono się obrazami Gaugaina, z których jeden („Księżyc i Ziemia”) przedstawiał nagą, smagłą dziewczynę z Tahiti. Poddana eksperymentowi pewna sekretarka stwierdziła później, że we śnie miała na sobie kostium kąpielowy i widziała młodą dziewczynę o jasnej skórze, która chciała się opalać na słońcu. Z kolei podczas innego doświadczenia obraz przedstawiający troje szczeniąt i kielichy z niebieskiego szkła wywołał u osoby poddanej eksperymentowi sen o „szczekających pieskach” i o „ciemnoniebieskich butelkach”.

Podobny eksperyment przeprowadzony został również na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, gdzie grupie trzydziestu osób pokazano w określonych odstępach czasu sześć obrazów. Jednocześnie w innej sali trzydziestu „odbiorcom” polecono zanotować w tych samych odstępach czasu nurtujące ich myśli. W niektórych przypadkach okazało się, że odbiór telepatyczny był bardzo trafny. W sumie w jedenaście przypadkach stwierdzono wyniki odpowiadające rachunkowi prawdopodobieństwa, zaś w jedenastu następnych uzyskano 46 proc. trafień, co oznaczało, że nie może się ono zdarzyć częściej niż raz na tysiąc. Pozostałe osoby nie wykazały szczególnych zdolności telepatycznych.

Na podstawie szeregu różnorodnych badań, prowadzonych przez towarzystwa parapsychologiczne oraz środki uniwersyteckie można było wyciągnąć wniosek, iż eksperymenty te utrudniał często zmienny stan uzdolnień metapsychicznych, które wymykają się wszelkiej świadomej kontroli. Jest przy tym charakterystyczne, że poziom tych uzdolnień maleje z upływem czasu mimo ćwiczeń, które jeszcze dodatkowo go obniżają. W rezultacie zdarzało się, iż osoby wysoce uzdolnione pod tym względem spadały po jakimś czasie do grupy normalnej. Przy okazji znajdujemy wy tłumaczenie faktu popełniania w dziedzinie parapsychologii tyłu oszustw, bowiem owe „uzdolnione” osoby nigdy nie mają pewności, czy w ustalonym momencie potrafią zmobilizować swoje parapsychologiczne zdolności.

W chwili obecnej głównym kierunkiem zainteresowania i badań parapsychologów stało się poszukiwanie czynników, które sprzyjają bądź przeciwdziałają rozwojowi cech parapsychicznych. Dużą część z nich koncentruje się przede wszystkim na analizie indywidualnych cech fizjologicznych, które mogłyby dowodzić posiadania lub braku zdolności metapsychicznych. W tym celu bada się np. różnice potencjału elektrycznego w poszczególnych częściach mózgu. W Stanach Zjednoczonych przedmiotem tych analiz są głównie charakterystyczne cechy psychologiczne i właściwości środowiska, przypuszczalnie jest bowiem, że ten trend w badaniach może mieć w pewnym sensie znaczenie decydujące dla dalszego rozwoju parapsychologii.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

NIECH no tylko zakwitną JABŁONIE...

Człowiek, społeczeństwo, kraj, naród — aby był niepodległy — oprócz posiadania własnego skarbu, wojska, rządu, terytorium winien posiadać jeszcze poglądy, a dobrze jest, jeśli część tych poglądów umie wyrazić z poczuciem humoru. Dlatego potrzeba satyry...

Tak brzmi słowa wstępu do książki, która przeszła niezauważenie, ubrana w standardową okładkę jako „Materiały repertuarowe dla estrad”. A jest to antologia tekstów, dokumentalnych już dzisiaj, z teatrów i kabaretów studenckich — „STS”, „Pstrąga”, „Bim-Bomu”. Jest w tej urokliwej książeczce przypomnienie teatrów, spraw i czasów, kiedy wierzone naprawdę, że:

„Świat nie jest taki zły
Świat wcale nie jest mdy
niech no tylko zakwitną jabłonie...”

Właśnie zakwitły jabłonie i właśnie minął doroczny przegląd studenckich scen. Trochę brakło w tych spektaklach owego przekornego — a może nai-

wnego i młodzieńczego przekonania, że „świat nie jest taki zły”. Ale — jak piszą weterani dawnych studenckich teatrów — przecież dziś, tak jak niedgdy, studenckie sceny szukają dziury w całym dla wspólnego dobra.

I to prawda. Dziś mówimy z całym przekonaniem, że tamte sceny lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych towarzyszyły swojej satyrą i humorem najgorętszym zmaganiom i najistotniejszym przemianom społecznym, z których po latach wyniki nasz dzisiejszy lepszy los.

Po latach, wierzę w to, będziemy mogli te same słowa odnieść do dzisiejszych studenckich scen.

A cóż po nas zostało? — pytają studenci sprzed 20 lat. Pozostały teatry z tekstami, fotografie, plakaty... Istnieją prywatne archiwum Jerzego Afanasiewa, jest archiwum STS-u, są papiery po studenckiej „Stodo-...”. Tylko, że Afanasjew wydał „Sezon kolorowych chmur” — piękną opowieść o scenkach Wybrzeża, większość tekstów

książeczki, o której piszę, stanowią materiały STS-u i „Stodo-...”. A „Pstrąg”?

Ktoś tam ma jakieś archiwum, ktoś tam bezskutecznie próbuje je opracować, ale wciąż — mimo upływu lat — nie możemy się doczekać ani monografii „Pstrąga”, ani wyboru tekstów Janusza Słowikowskiego. Czasem odnośną wrażliwość, jakby to nie było, nie obchodziło. Dziwne, ale prawdziwe.

Urok tych „Materiałów repertuarowych” polega zapewne na tym, że jest to powrót do wspomnień tamtego pokolenia. Ale jest to przede wszystkim dokument literacki i artystyczny tamtych lat; aktualność tych tekstów jest dziś wątpliwa — inne czasy, inne sprawy. Lecz ważna jest świadomość z czego biorą się dzisiejsze sceny studenckie, skąd, jak i dlaczego zaczął się ten niezwykły ruch artystyczny, będący prawdziwym światowym ewenementem.

Dlatego tak bardzo ważna i znacząca jest ta książeczka w nieefektywnej okładce, wyda-

na w jednej serii ze sztampowymi „kawalkami” estradowymi. A w gruncie rzeczy może najważniejszy w tej książeczce jest diariusz premier kabaretów studenckich, owa dokumentacja kilkudziesięciu premier w latach 1945-1969. Jakież to nazwiska można tam znaleźć! Jan Skotnicki i Jerzy Markuszewski, Jerzy Antczak i Zbigniew Cybulski, Bogumił Kobiela i Marek Lusztig, Agnieszka Osiecka, Sławomir Mrozek, Wojciech Ślimon, Jacek Fedorowicz, Olga Lipińska... przepisywać nazwiska na chybił trafił.

Zostawmy jednak „dawnych wspomnień czar”. Przypomnijmy słowa piosenki sprzed dwunastu lat:

„Najpiękniejsze dni czekają nas
jeszcze, Najpiękniejsze są jeszcze przed
nam, Najpiękniejsze słońce i deszcze
Te, o których śniłszy nocami.
Najpiękniejsze czekają nas laury
Najpiękniejszych zadań moc
wazkich
Najpiękniejsze do czynów starty
Najpiękniejsze porażki...”

WIDOK

LEWYM OKIEM

JAK TO ZROZUMIEĆ?

Nikt nie powie, że podróżowanie koleją po ostatniej regulacji cen jest tanie; mówię o pociągach pośpiesznych, bo ceny osobowych pozostają od dawna bez zmian. No tak, ale na odległość paruset kilometrów bezpośrednie połączenia są przeważnie pośpieszne, co oczywiście nie znaczy, że te pociągi szybko jeżdżą. Jeżdżą zupełnie tak samo albo i wolniej. Znany jest przecież fakt, że zgodnie z rozkładem jazdy pociąg osobowy z Łodzi do Zakopanego jechał jedenaście godzin, a pośpieszny (jeden z wagonami sypialnymi, przez Skarżysko) — szesnast godzin. I wagony sypialne oraz kuszetki są prawie wyłącznie przy pociągach pośpiesznych. Więc — powiadam — tanio to nie wychodzi.

Mimo to miejsce leżące — np. do Kryniczy — trzeba zamawiać przez Orbis z dużym wyprzedzeniem, z dodatkową opłatą za rozmowę telefoniczną, bo Orbis nie ma połączeń z Warszawą tylko je zamawia jak zwykły śmiertelnicy i tak jak oni — dostaje połączenie albo nie. Na miesiąc przed wyjazdem na u-

rop stoi się w orbisowej kolejce, w dwa dni później stoi się jeszcze raz, gwałt, rwetes, nerwy, a potem przychodzi wreszcie dzień wyjazdu i okazuje się, że wagon z kuszetkami leci pusty. Identyfikacja historii powtarza się w drodze powrotnej. Jednej z moich bliższych znajomych zdarzyło się też, że mimo bardzo wczesnych starań nie dostała kuszetki na pociąg do Bułgarii, bo były „wypzedane”. Chcąc mimo wszystko uniknąć wielce uciążliwej podróży przez tyły szmat drogi w pozycji siedzącej, wyjechała w oznaczonym dniu z Łodzi wczesniejszym pociągiem do Katowic, tam poczekała na odpowiedni pociąg z kuszetkami i bez trudu dostała miejsce do spania. Wcale nie były wypzedane!

No i czytamy teraz w prasie, że wagony sypialne i kuszetki zostały przez łodzian wykorzystane w roku 1975 w 26 procentach i Wars dopłacił do tego interesu ponad milion złotych! Jak to zrozumieć? Jak to zrozumieć, skoro się tyle razy odeszło od kas, a jeszcze częściej — od zamkniętych na glucho wago-

nów z konduktorem, kiwającym przez szybę, że miejsc nie ma?

W warszawskich teatrach prawie nigdy nie zdarza się, żeby po prostu przyjechał przed przedstawieniem i kupić bilet w kasie. Mówię o warszawskich, bo tam jestem delegacyjnym przybysem i czasem miałbym ochotę iść do teatru zamiast do „Złotej Kaczki”. Nie wykluczone, że w Łodzi jest podobnie, ale tu jestem u siebie i łatwiej mi planować z wyprzedzeniem. W kasach stołecznych nie ma biletów prawie nigdy. Mimo to na widowni — jak już się tam znajdziecie — co czwarte-piąte miejsce świeci pustką. Cóż, rzędy! Jak to zrozumieć?

Po kilkuletnim milczeniu znów ożyła w prasie dyskusja na temat nauczania łaciny w szkołach średnich. Uczyć, czy nie uczyć? Disce, puer, latine, ego faciam te mościpanie... Może ta łacina była rzeczywiście potrzebna głównie po to, żeby się poczuć mościpaniem, kimś wtaimnicznym, kimś absolutnie różnym od pospólstwa? Boy nazywał maturę namłastką feudalnego indygenatu szlacheckiego. Kodeksy honorowe uważały maturę za patent na honorowość i za upoważnienie do pojedynkowania się o byle glupstwo.

Matura była nie do pomyślenia bez znajomości łaciny.

Moje pokolenie lubi od czasu do czasu popisać się cytatem z Horacego lub Cezara. Obawiam się, że przyjemność takiego popisu w towarzystwie to największy zysk z całej ciężkiej morderki, jaka wiązała się z nauką martwego języka. To prawda, że znajomość zasad gramatyki łacińskiej ułatwiła przyswojenie sobie innych obcych języków. Czy to ułatwienie warte było tamtej morderki? — nie umiem powiedzieć. Myślę jednak, że istnieje dzisiaj mnóstwo rzeczy o wiele istotniejszych i wartych nauki niż języki starożytności, które niech tam sobie egzystują w specjalnościach szczególnie z nimi związanymi: w filologii, medycynie, farmacji, prawie. Czyż nie ważniejszym od łaciny powinien być dla nas nasz rodzimy, dzisiejszy język polski? A oto dowiaduję się, że na różnego rodzaju kursach i studiach administracyjnych język polski, jego stylistyka, frazeologia — nie są przedmiotem wykładowym! Mimo że język biurokratyczny jest taki jaki jest i będzie coraz szerszy. Jak to zrozumieć?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

CO myślę o MŁODZIEŻY?

— Co pan myśli o młodzieży? — zapytały mnie nie tak dawno licealistki.

Odpowiedziałem, że myślę dobrze. Więcej one dalej: — Dlaczego? Ale ja zupełnie nie wiem, dlaczego miałbym myśleć źle. Czy tylko dlatego, że sam młodym byłem dość dawno?

Jest dość powszechny zwyczaj, który każe narzekać na młodzież, że wygodna, rozwydrzona, nie uznaje autorytetów, bezdeusna itd. Tylko że jest to zwyczaj bardzo stary i bardzo niedobry. Na młodzież narzekało się już wówczas, gdy ja byłem młody, a podejrzewam, że również wówczas, gdy młodym był mój ojciec, mój dziadek... Narzeka się na młodzież wedle schematu: — Jak myślny byli młodzi, to ho, ho... Tylko, że jeśli chodzi o nas, to myślny byli młodzi w zupełnie innych czasach. Można bez większej przesyady powiedzieć, że dziś od czasu naszej młodości dzieli cała epoka.

W czasach naszej młodości nie było komputerów, laserów, telewizji, nie było lotów kosmicznych, człowiek nie latał nad Księżycem. To były inne czasy. Inaczej się wtedy myślało, inaczej uczono. Mniej się wiedziało o świecie. A to wszystko się liczy. O tym nie wolno zapominać. Niestety, o tym się często zapo-

mina. I to zapomina się wtedy, kiedy próbuje się oceniać dzisiejszą młodzież.

Uczestniczyłem niedawno w rozmowie o szkolnictwie, gdzie pewien pedagog starszego pokolenia powiedział piękne i znamienne słowa. Pozwól sobie obszernie zacytować tę wypowiedź.

— Dziś wiele mówi się o tym, że młodzież powinna być partnerem w procesie wychowawczym. Jednym się to podoba, innym nie. Ale ci, którym się to nie podoba, zapominają, że epoka trwałych autorytetów już minęła bezpowrotnie. Dlatego w szkole niezbędne jest obalenie barier, nawiązywanie współpracy między tymi, którzy wychowują, a tymi, którzy są wychowywani. I w wielu szkołach zaczęto już dość dawno nawiązywać dialog z młodzieżą. Ja na przykład uważam, że wiele spraw, którymi żyje młodzież jest ważnych. Uważam, że ważne są propozycje, z jakimi występuje młodzież. Uważam też, że ważna jest moda, jakiej holduje młodzież. W szkole, w której ucze, nigdy nie miałemśm do uczniów pretensji o to, jak się noszą, jakie noszą włosy. Miałem, jestem przekonany, że w stosunku do młodzieżowej mody, ich stylu była trzeba być nie tylko tolerancyjnym, ale mieć

szacunek, bo w naszych czasach nie było takich indywidualności, które potrafiłyby to osiągnąć. Zresztą mieliśmy wtedy inne zmar-twienia.

— Jestem też przekonany — mówił dalej ów pedagog — że skończyła się epoka mundurów szkolnych i wracanie do tego jest działaniem bezużytecznym. Przed wojną mundurki i tarcza szkolna były dowodem elitarności, nobilitowały i wyróżniały gimnazjalistów i licealistów. Dziś — w epokę demokracji oświaty, jej upowszechnienia — jest to tylko numer rejestracyjny. Tareze wpro-wadza się dziś w szkołach podstawowych, a nawet w przed-szkolach. W gruncie rzeczy nie ma to już żadnego znaczenia. Oczywiście, jako zdyscyplinowany człowiek przestrzegam noszenia tarczy przez moich uczniów, ale zdaje sobie całkowicie sprawę, że jest to zupełnie bezcelowe i niepotrzebnie absorbujące czas i energię nauczycieli.

— Partnerstwo młodych — kontynuował — rozumiem w taki sposób, aby młodym nie odbierać ich praw, ale też, aby nie zapominąć o ich obowiązkach. No — aby oni sami nie zapominali o swoich obowiązkach.

Bardzo mi się ta wypowiedź podobała. A podobala mi się dlatego, że wynikała ona ze zrozumienia różnicy czasu, w jakim ów pedagog był młody i czasu, w jakim swój najmłodszy okres przeżywa dziś nasze najmłodsze pokolenie. Bez takiego

rozumienia można mieć do młodych tylko prensje i tylko wspominać, jak to pięknie było, kiedy myślny byli młodzi. Bo my, panie, dziejku, to ho, ho!

Co ja myślę o młodzieży? Myślę, że młodzież, mamy dorodną, wyrosłą, zdrową, dobrze odżywioną, i wracanie do tego jest działaniem bezużytecznym. Młodym można się czuć mając 40 lat i czuć i myśleć jak starzec, mając 25 lat. Najważniejsze, aby człowiek wiedział, czego chce, jaki ma cel i jak do niego dążyć. Nie młodzież mnie martwi, ale doradli ludzie, którzy z tych młodych wyrósł. A to już zależy nie tylko od nich samych, również i od nas, od tych, którzy ich powinni zarazić zapałem, nauczyć zaangażowania, pokazać cele, do których mają dążyć. I tu muszę przyznać, że z tym bywa różnie. Czasem my, ludzie doradli nie jesteśmy ani atrakcyjnym, ani imponującym dla młodych. Czasem to bardzo interesujemy się tym, co młodzi mają na głowie, na sobie, jak spędzają wolny czas, jak się bawią i mówią, a mniej nas obchodzi, to co mają w głowie. Otóż to!

MARCIN RODAK



MOSKWA

Bedeckery i foldery turystyczne są oczywiście potrzebne, choć najczęściej nudne. Olgierdowi Budrewiczowi udało się wszakże napisać bedecker interesujący. Nie jest to oczywiście typowa „kieszonówka”, w której na bieżąco sprawdzamy datę czy szukamy topograficznej informacji. Moskiewski bedecker Budrewicz trzeba przeczytać z nim się pojedzie do Moskwy.

Wtedy — gwarantuję — miasto wyda się nam znane i bliskie. Autor opisał stolicę Kraju Rad w 66 mini-felietonach. Są tu oczywiście sprawy znane, ale jest przede wszystkim mnóstwo rzeczy nieznanych i ciekawych. Są także anegdoty i ciekawostki, są fotografie, tylko... nie ma spisu rzeczy. Ale to właściwie szczegół bez znaczenia. Jak się rzekło, książkę Budrewicza trzeba przeczytać przed podróżą i „jak leci” — od początku do końca. A z tym czytelnicy nie będą mieli kłopotu.

Olgierd Budrewicz „66 X Moskwa”. Wyd. Artystyczne i Filmowe, cena 30 zł.

BRYLANTY DLA DYKTATURY

Akcja tej powieści osnuta jest wokół sensacyjnej sprawy kosztowności, które republika radziecka odziedziczyła po starej Rosji. W latach dwudziestych, gdy Rosja Radziecka znalazła się w szczególnie ciężkiej sytuacji, gdy w wielu rejonach kraju zapanował głód, przez granice państw ościennych ruszył przemysł sprytnych wykradających ze specjalnego skarbca bogactw, których część rząd radziecki zamierzał spleniężyć na rynkach światowych, aby zdobyć chleb dla głodującego kraju.

„Czeka” otrzymała zadanie: polożyć kres grabieżce, wykryć sprawców i odzyskać utracone klejnoty. Nici tej skomplikowanej operacji, zakrojonej na szeroką międzynarodową skalę, trzyma w swym ręku młody pracownik wywiadu, Maksym Isajew.

Walkę o brylanty dla dyktatury proletariatu rzucił Julian Siemionow na tło historyczne, realistycznie zarysowane w oparciu o materiały archiwalne, dekrety, tajne informacje, zarządzenia i decyzje polityków. Czyta się tę powieść dokumentalną znakomicie.

Julian Siemionow „Brylanty dla dyktatury proletariatu”, Książka i Wiedza, cena 30 zł.

CHIŃSKIE ZAPISKI

Otto Braun — niemiecki komunist, wysłany został przez Komintern, w rozstrzygającym okresie rewolucji chińskiej, w charakterze doradcy wojskowego do KC Komunistycznej Partii Chin. Był bezpośrednim uczestnikiem i naczelnym świadkiem walk i Wielkiego Marszu Chińskiej Armii Czerwonej w latach trzydziestych. Po latach Braun opisał swoje wspomnienia.

Odsłania w nich, opierając się na własnych spostrzeżeniach i doświadczeniach, społeczne i historyczne korzenie, z których wyrósł z biegiem czasu maoizm, jako ideologicznie i faktycznie polityczny szkodliwy zjawisko w światowym procesie rewolucyjnym. Żywo ukazuje konfrontacje pomiędzy marksistami — internacjonalistami a drobnomieszczańskimi nacjonalistami oraz metody, jakimi posługiwał się Mao-Tse tung, aby uzurpować sobie kierowniczą pozycję w partii i w armii, wreszcie także i władzę w państwie.

„Chińskie zapiski” Otto Brauna wykraczają więc daleko poza ramy wspomnień. Na podstawie niezbitych faktów, a gdzie to niezbędne — z polemiczną ostrością, oświetlają one dotąd prawie nie znany i długo pomijany milczeniem rozdział historii KP Chin i rewolucji chińskiej.

Otto Braun „Chińskie zapiski”, Wyd. MON, cena 35 zł.

WERSZE TARKOWSKIEGO

Nie wiadomo, od kiedy Arseniusz Tarkowski pisze wiersze. Przez całe lata ceniony był i znany w Związku Radzieckim jako tłumacz poezji z języków Wschodu, tłumaczył wielu poetów gruzińskich. Dopiero w roku 1962, jako 55-letni autor wydaje pierwszy tom własnych wierszy „Przed śniegiem”.

Był to najbardziej wazki tom debiutancki w ZSRR od wielu lat. W sytuacji, kiedy wielu radzieckich poetów w poszukiwaniu nowoczesności coraz bardziej rozluźnia swoje związki z rygorystycznie pojmowaną tradycją, Tarkowski zdaje się ewoluować w kierunku przeciwnym, ku tradycji, ku pewnemu klasycyzmowi i niewątpliwą swoją nowoczesność odnajduje tam właśnie.

Szczególnie żywa jest dla Tarkowskiego tradycja, akmeizmu — Grumilowa, Mandelstama, Achmatowej, a także futurysty Chlebnikowa. W Polsce był Tarkowski dotąd nie znany. Wybór jego wierszy przygotował i opatrzył wstępem Witold Dąbrowski, który także wiele utworów przełożył.

Arseniusz Tarkowski „Pierworództwo”, PIW, cena 10 zł.

DZIENNIK

Analiz Nin — autorka „Dziennika” jest postacią niezwykle barwną i bogatą. Córka sławnego hiszpańskiego pianisty i amerykańskiej śpiewaczki duńskiego pochodzenia od dzieciństwa obraca się wśród artystów, towarzyszy ojcu w jego tournée po Europie, a gdy jej matka, porzucona przez męża, osiada z dziećmi w USA, jedenastoletnia Analiz zaczyna pisać swój dziennik.

Mając lat dwadzieścia kilka zdobywa uznanie w świecie literackim wnikiwymi szkicami o D.H. Lawrence i H. Millerze. Należy wówczas do kosmopolitycznej bohemy Paryża, a do grona jej najbliższych przyjaciół zaliczyć można wielu znanych pisarzy, artystów i naukowców.

Wydała kilka powieści, parę tomów opowiadań, ale spośród całego jej dorobku największe zainteresowanie wzbudza właśnie „Dziennik”, otoczony legendą i nazywany nominem literackim XX wieku.

Analiz Nin „Dziennik”, Czytelnik, cena 60 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

Filip Bajon „Serial pod tytułem”. Czytelnik, cena 21 zł.
Julio Cortazar „Wielkie wygrane”. Czytelnik, cena 37 zł.
Michał Rożek „Uroczystości w barokowym Krakowie”. Wyd. Literackie, cena 40 zł.
Juliusz Słowacki „Czas satysfakcji”. Wyd. Literackie, cena 18 zł.
Olgierd Budrewicz „Zupełnie jak w kinie”. Iskry, cena 36 zł.
Jan Maria Głogocki „Złote godziny”. Czytelnik, cena 12 zł.
Franz Kafka „Listy do Felicy”. PIW, cena 150 zł, t. III
Eugeniusz Paukisz „Wroscanie”. PIW, cena 20 zł.

ROMAN GORZELSKI

RYSUNKI DZIECI

Słońce na całą kartkę
ma zęby nos oczy — uśmiech
i promieniami owłosioną głowę

zielona mama z zielonymi dziećmi
idzie na zielony spacer z zielonym psem
zielony dziadek siedzi na zielonej przyzbie

dom wędrujący przez pagórek czerwony cały
drzewo aż leci przez powietrze — świtem
tyle na nim ptaków różowych

kościół stoi na środku drogi
to białe Boże Narodzenie
pełne świętych Mikołajów

malinowy koń ciągnie złoty wóz
pełen srebrnych jabłek i pomarańczowych
białoczerwone dzieci grają w miodową piłkę

rzeka pełna niebieskiej wody i biały kajak pośrodku
i czarny pies i na brzo opaleni chłopcy
na żółtej farbie piasku leżą tak całe wakacyjne życie

— nikielowe rysunki dzieci
rysunki szczęśliwych
pomylnych kolorów

MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ DZIECKA

Odbył się niedawno zjazd byłych maluchów z przedszkola, do którego uczęszczaliśmy z przyjaciółmi przed pół wiekiem. Wtedy to się nie nazywało przedszkole, tylko freblówka. Pani freblanka prowadziła nas co dzień, jeżeli była pogoda, do parku. A tam spotykaliśmy często sierociniec, czyli, jak to się wówczas nazywało, ochronkę, pozostającą pod opieką jakiejś

względem chyba idealnych dla naszej pani. Nie więc dziwnego, że stosunek do sierot nas, freblaków, był zaprzeczeniem tradycyjnego współczucia dla istot znajdujących się w pożałowania godnym położeniu. Po prostu baliśmy się sierotek, a jednocześnie podziwialiśmy je jako uosobienie kolektywnej tężyzny, ponieważ w przeciwieństwie do tych z bajek, spędzających czas

zjazd, w znacznej mierze tramwajowy... Kto tam właściwie był? Kituś, Stasieczek, Złuteńka, Dynio. Najatrakcyjniejszym momentem spotkania była zabawa w ogródku jordanowskim, specjalnie wynajętym przez organizatorów imprezy, która miała nam przypomnieć bez troski i grzaski dzieciństwa. Mimo późniejszego wieku nasz ogródek dostarczył nam prawdziwie dziecięcych radości, a nieobecność

JEREMI PRZYBORA

LIST Z PARKU DALEKIEGO DZIECIŃSTWA

dobroczynnej półduchowej instytucji. Otóż ta ochronka lała nas, freblaków. Sieroty, których życie nie gładkało, były lepiej od nas, maminsynków i tatusin-córeczek, zaprawione do trudu walki i lały nas, jak chciały, czy to w powodzi bżów wiosennych, czy na tle bajejcznie kolorowej jesiennej sceny. Niejednokrotnie też odbierały nam zabawki, na co pani freblanka nie zwracała większej uwagi, pozostając pod urokiem wychowawcy sierocinca. Był on osobą silną rzeczy półduchową, a półświecką w proporcjach pod tym

na placu i zbieraniu razów, te nasze z parku zanosili się od śmiechu, rozdając razy nam, wychuchanym pięszczoszkom. Ja osobiście przypłaciłem nawet ten kult sieroty przykrościami natury osobistej, kiedy zapytany przez rodziców, co bym chciał na gwiazdkę, odpowiedziałem, że na gwiazdkę chciałbym zostać sierotą. Oczywiście te rzewne wspomnienia o naszych przygodach w parku odległego dzieciństwa były m. in. tematem rozmów na naszym zjeździe byłych maluchów. Niewielki to był zresztą

owych niezapomnianych sierotek nie zmniejszyła żalu, z jakim opuściliśmy ogródek po spędzonych tam chwilach bez troski. Sami już przecież wszyscy byliśmy sierotami! Z wyjątkiem Stasieczka... On też najboleśniej chyba przeżywał rozstanie z ogródkiem dzieciństwa i rozplakał się rzewnie. Nie wzdzieliśmy, jak go pocieszyć, więc w końcu spuściliśmy mu łanie, jak niegdyś sierotki — nam wszystkim. Wtedy dopiero rozpoznał się i przestał płakać.

(„Listy z podróży”, Czytelnik 1975)

ALE FAJNIE!



Foto: J. Indelak



HUMOR Z ZESZYTÓW...

Krasiński był poetą, który odświeżył język i oczyścił z makaronu.

Tren jest to utwór wierszowany pisany z wielkim trudem i rozpaczą.

Judym cierpiał z wdzięczności do ciotki.

Konserwatywizm to ochrona przed psuciem się; np. konserwuje się dzieła sztuki.

Humanizm stawiał człowieka na czoło.

Wolodyjowski kochał się najczęściej w pannie Brzuchatej.

Fosfor występuje w kościach i w Kazimierzu nad Wisłą.

Na środku klasy stoi stół nauczyciela, którego blat pomalowany jest na niebiesko.

Humanizm jest to pewny prąd.

Soplica wstąpił do legionów i walczył na boku Dąbrowskiego.

Rolnik ten stoi na bardzo niskim poziomie intelektualnym, podobnie jak jego krowy.

Antek na oczach wszystkich



dał wyraz swoich uczuć do macochy.

Na wysokości 20 tys. stóp w samolocie rozgrywa się tragedia: pasażerowie mają do wyboru na kolację lososia i baranię.

Wzory literackie czerpał Kochanowski z ud Horacego.

Robinson, gdy się obudził, zobaczył, że jest rozbity.

Nasze plemiona przed przyjęciem chrztu zachowywały się jak normalni ludzie.

Miał lekko zadarty nos z wysuniętą brodą do przodu.

W 1921 roku kładzie węgiel kamienny pod Instytut Radowy.

Andrzej Radek pożerał książki.

W gablocie stoi głowa Pana Tadeusza i jedna z jego ksiąg.

Szujski znalazł pomoc awanturników i rękę Maryny.

Najbardziej podobał mi się fragment Wojtka.

(„PRZEKRÓJ”)

DZIECIĘCY OBRAZ ŚWIATA

Rozmowa z WOJCIECHEM WIECZORKIEWICZEM — aktorem, reżyserem, docentem Wydziału Łąkarskiego krakowskiej PWST, dyrektorem i kierownikiem artystycznym Poznańskiego Teatru Lalki i Aktora.

— Jaka jest Pana zdaniem rola teatru lalek w edukacji najmłodszego widza? Używając słowa edukacja — rozumiem je w dosyć szerokim sensie.

— „Inicjacja, edukacja, animacja intelektualna i emocjonalna” — to najkrócej ujęty program teatru, którym obecnie kieruję i z którym od kilkunastu lat jestem związany najbliższ. Staramy się rozwijać u naszych widzów umiejętność intelektualną i emocjonalną, rozwijając ich uczucia i wyobraźnię a tym samym przeciwdziałając zanikowi aktywności w reagowaniu na świat, który starają się oswoić. O roli teatru lalek w edukacji pełnowartościowego widza teatralnego dowiadujemy

się z ust kierowników artystycznych teatrów dramatycznych. Przyznam się, że komplementy kierowane przez Cywińską czy Kordzińskiego pod adresem młodzieżowej widowni w Poznaniu przyjmuję jako wyraz uznania również dla rezultatów ostatnich kilkunastu lat pracy naszego teatru.

— Jest Pan twórcą niespokojnym, poszukującym — odnoszę te sformułowania nie tylko do poszukiwań formalnych, ale także repertuarowych. Czy sądzi Pan, że repertuar, który preferują polskie teatry lalkowe jest wyrazem potrzeb widowni dziecięcej?

— Nie. Jest wyrazem sytuacji w tym rodzaju dramaturgii a także w teatrach lalek. Reper-

tuar ten jest na miarę ambicji i umiejętności autorów i reżyserów teatrów lalek. Mam podstawę podejrzewać, że potrzeby widza-dziecka są znacznie głębsze, że oczekuje on od teatru przeżyć przewyższających ambicje i umiejętności, o których mówiłam przed chwilą.

— Czy nie nazbyt często wypowiadamy się arbitralnie o potrzebach dziecięcej widowni — nie doceniając badań prowadzonych przez Instytut Pedagogiki?

— Jeżeli Pani pozwolił będę mówił o sobie. Staram się zachować pokorę w stosunku do dzieci. W większym stopniu niż kobiety intrygują mnie one odrębnością swojego świata. Tragedią ludzi pracujących dla dzieci jest ułomność naszej pamięci, która tak niewiele potrafi ocalić od zapomnienia. W praktyce naszego teatru od szeregu lat korzystamy z rezultatów badań prowadzonych przez psychologów pod kierunkiem doc. dr Marii Tyszkowej z Katedry Psychologii Rozwojowej UAM.

— Czy słuszne byłoby postawienie sprawy: dram — dla dorosłych, lalkarstwo dla dzieci? — A kto dla starców? To

przecież także odrębna formacja społeczna. Teatr dla dzieci powinien się rodzić z potrzeby kontaktu z człowiekiem należącym do przyszłości w czasie, kiedy kształtuje się on w konie współczesnego świata. Andrzej Wajda w wywiadzie dla „Sceny” przyznał się, że chciałby zrobić przedstawienie dla dzieci. Chciałbym zagrać w tym przedstawieniu właśnie dlatego, że Wajda chce a przecież nie musi. Należy współczuć dzieciom, które otrzymują teatr dlatego, że jakieś przedsiębiorstwo musi wykonać plan albo ktoś musi wykonać normę swojej pracy.

— W repertuarze teatru lalek znajdują się pozycje przeznaczone dla dorosłych. Czy Pana zdaniem jesteśmy w stanie przełamać narosłe przez lata uprzedzenia dorosłych do proponowanej im przez nas formy teatralnej?

— Nie dostrzegam specjalnych uprzedzeń. Raczej nieświadomość tego co ma do zaoferowania dorosłemu widzowi teatr lalek. Scena Młodych naszego teatru od lat proponuje swoim widzom inscenizacje sztuk Wyspiańskiego, Norwida, Majakowskiego, Witkacego, Dü-

rrenmatta, Białoszewskiego, Różewicza... Celem jej działalności jest jednak nie tyle przyciągnięcie dorosłego widza ile zatrzymanie przy teatrze widza, który przestaje być dzieckiem. Kolejne premiery Sceny Młodych oglądane są przez pięć do sześciu tysięcy widzów.

— Panuje powszechna opinia, że łatwiej jest zrealizować dobry spektakl dla dorosłych, niż dla dzieci. Czy Pan się z tym zgadza?

— Zrealizować dobry spektakl jest trudno. Mimo około 40 prób jeszcze mi się to nie udało. Premiera zawsze w mniejszym lub większym stopniu przynosi gorzkie porażki. To nie kokieteria. To powód, dla którego nazwała mnie Pani „poszukującym”. Ale widziałem kilka bardzo dobrych przedstawień. Tylko w jednym wypadku był to teatr dla dzieci. Zaspokoje Pani ciekawość. Jest to przedstawienie „Siata baba mak” Miłobędzkiej w reżyserii Leokadii Serafinowicz.

— W teatrze „Arlekin” realizuje Pan obecnie rzadko wystawianą sztukę J. W. Goethego „Pieśń o lisie”. Jakie czynnik zdecydowały o Pańskim zainteresowaniu się tym właśnie tekstem?

— „Pieśń o lisie” — adaptacja poematu Goethego „Reineke Fuchs” interesuje mnie ze względu na artystyczne i filozoficzne wartości pierwowzoru. Adresowana do starszych dzieci może stanowić rodzaj szczepionki przeciw nadmiernie wysłodzonemu, bezkonfliktowemu obrazowi świata, jak prezentuje większość z wystawianych w teatrach lalek sztuk.

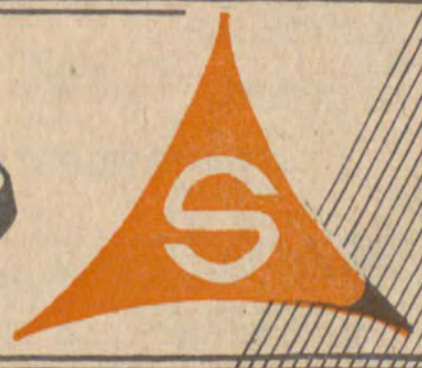
— Mam nadzieję, że „Pieśń o lisie” otwiera Pana stałą współpracę z „Arlekinem”. Sądzi zatem należy, że i najmłodszy widzowie będą mogli skonfrontować swoje wyobrażenia i doświadczenia z Pańskimi — stworzonymi na język teatru.

— Moja wieloletnia przyjaźń z dyrektorem Ochmańskim, ambitny program jaki zakreślił dla kierowanego przez siebie teatru a także bardzo dobra atmosfera towarzysząca obecnemu spotkaniu z dojrzałym, nie pozbanionym interesującym indywidualnością, zespołem aktorskim „Arlekina” zachęcają do dalszej współpracy.

Rozmawiała: JADWIGA ŚĄCINSKA

UBIERAJ SIĘ W WYROBY DZIEWIARSKIE ZE ZNAKIEM

„SIGMATEX”



1768/K